

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 14 kwietnia 1906 r. Nr. 15.

„Nie chcewa księdza i tylo!“

(Treść na stronie 2).



Na Zmartwychwstanie...

Biją dzwony, biją, grają. Jak szeroki kraj, rozdzwoniły się kościoły wszystkich naszych wsi. Ze szczytów wież głos po głosie zgodnie leci ponad ziemią, aż powietrze uroczystych dźwięków echem drga.

Biją dzwony, biją, grają. Święto dzisiaj w naszych siołach.

A po ziemi barwnym wężem bez początku i bez końca, snuje się i snuje ludzkich ciał korowód tłumny. Idą, idą młodzi, starzy, niewiast walą się gromady, wlokąc dzieci rój. A co krok strzelają w górę męskie bary, szersze, wyższe, ponad starce przygarbione, ponad matki pochylone, nad korowód ten bez końca ludzkich ciał skłębionych barwny pochód.

Biją dzwony... Święto, święto! Ludzie idą, idą, niosą w rękach duże świece żółte, z wosku świece gorejące. A z wysoka dzwony biją, po kościołach chóry grają i śpiewają. Płoną świece, płoną, blaski niecąc śmiertelnej pościeli... Idzie, idzie korny tłum, świeci biel dziewiczych szat... Idzie, idzie korny tłum. A z wysoka dzwony biją. Dźwięczą dzwonki u ołtarzy, wśród kadzideł wonnych dymów. Chóry grają i śpiewają. Szumi z wiatrem barwny las chorągwi. Idzie, idzie korny tłum. A nad ludzkim korowodem zapalonych żółtych świec, między ziemią rozmodloną a niebiosów zaobłoczną bramą w dali, płyną gęste dymy ciemne, płyną dymy, dymy... Z łkaniem dzwonów rozkołysanych serdecznie, lecą w niebo te dymy z żółtych świec woskowych, biorąc ludzkiej piersi głos, unosząc jęki skarg i próśb:

— Święty, Mocny a Nieśmiertelny!

I płynie ponad ziemską łez doliną, płynie jak ofiarny w niebo dym, mętna fala niezmierzona, nieprzejrzana, ciężka fala modlitewnych niemych westchnień rozżalonych serc:

— Święty, Mocny, litość miej! Tyle gromów, tyle gromów z za nieznanych, niezbadanych, z zaobłocznych niebios bram, dniem i nocą, rok po roku tyle gromów bije w nas! Zmiłowania, Święty Boże, Święty, Mocny a Nieśmiertelny, litość miej!

Z dzwonów łkaniem ponad tłumem ukorzonym płyną falą, w górę lecą dymy z żółtych świec, biorąc w niebo ludzkiej piersi krzyk z nad padołu łez, niosąc w niebo jęki próśb i jęki skarg:

— Mocny Boże, tyle gromów z Twojej ręki wiecznie razi nas...

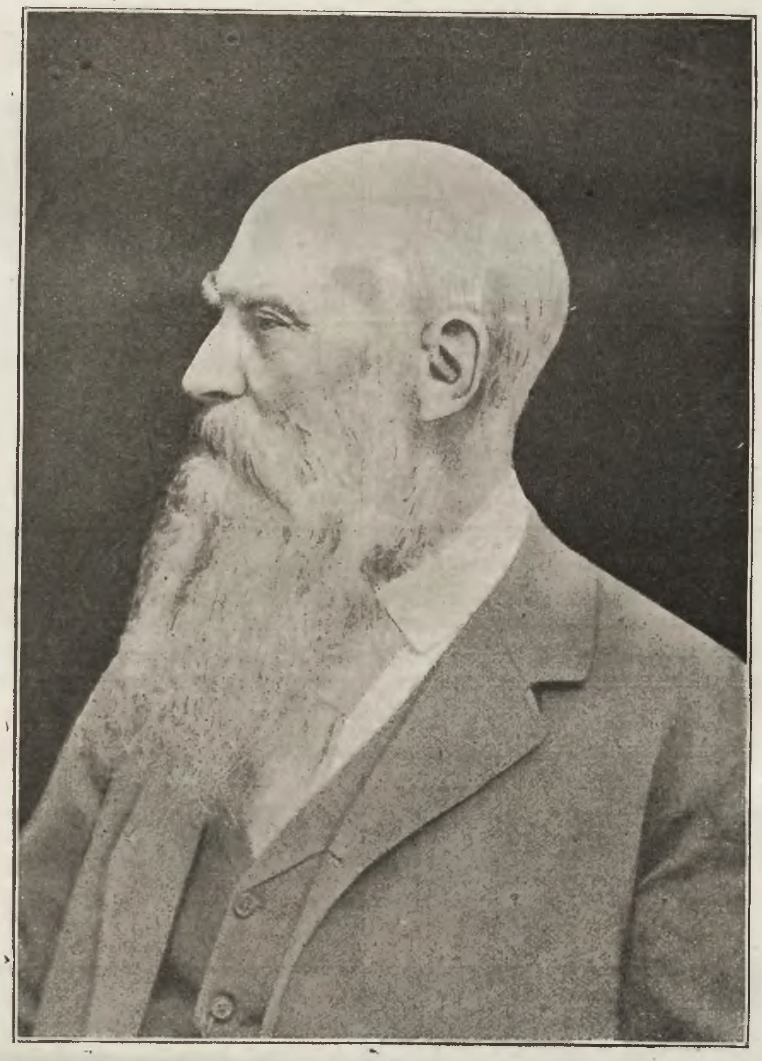
I po ziemi krwawym wężem bez początku i bez końca pełza w prochu nędzy łzawej ukorzonych i złamanych ciał ludzkich tłumny korowód, z jękiem skarg wśród łkania dzwonów:

— Tyle gromów, Panie, zlituj się nad nami, przemień, Boże! W żółtych blaskach śmiertelnych korzymy się przed Tobą, Boże Wielki, odmień, Panie, zmiłuj się nad nami! Milion świec gromnicznych zapaliliśmy w swej trwodze ogniem własnych serc, pełni ufności, że światło ich odegnać zdoła z posępnego widnokręgu nowe, ciężkie chmury gromonośne. Milion świec gromnicznych w rękach naszych płonie w godzinę trwogi, Święty, Mocny a Nieśmiertelny, litość miej, Ojcze nasz! Odwróć od nas, Panie, Twoje gromy!

* * *

W dzwon Zygmunta na Wawelu uderzono na Zmartwychwstanie. Po Wielkim Piątku Pan z grobu zmartwychwstał w Wielką Noc Rezurrekcyi.

Oby On Wam, polscy Czytelnicy, przyniósł ukojenie radosnem Alleluja po długiej żałobie Wielkiego Tygodnia! — Tego życzymy Wszystkim z okazyi świąt Wielkanocnych.



Wielki reformator: Obchodzący 80-tą rocznicę urodzin, Jerzy II, książę Sasko-Meiningeński, główny reformator współczesnego teatru, twórca słynnej trupy „Meiningerów“, których teorye sceniczne stały się dziś obowiązującą regułą w świecie cywilizowanym.

„Nie chcewa księdza i tylo“!

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna religijna w objętych ruchem maryawickim okolicach Królestwa Polskiego nie tylko nie zmniejsza się, jak niedawno zapewniali niektórzy, ale przeciwnie, szerzy się i zaczyna być groźną. Po pamiętnych a krwawych nieszporach w Strykowie, powtórzyły się w ostatnich tygodniach w różnych stronach kraju podobne gwałty Mankietników: tu i ówdzie zginęło przytem kilku ludzi, wielu zaś uszło z ciężkimi ranami z pola walki bratobójczej. Świeżo jednak zdarzają się coraz częściej wypadki niekrwawe, w których Mankietnicy zdobywają dla siebie kościoły, usunąwszy przemocą dotychczasowych proboszczów katolickich. Charakterystyczny fakt tego rodzaju zaszedł przed tygodniem — jak z Płocka donoszą — w Żukowie. Oto podburzeni przez słynnego już dzisiaj przywódcę sekty, księdza Przyjemskiego Maryawity z Kobylnik, udali się Mankietnicy do wsi Żukowa, do którego parafia Kobylniki została tymczasowo przyłączona i zażądali od tamtejszego długoletniego proboszcza, szanowanego ks. Dowgiałły, aby



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.

Uroczystości w Sokolnikach: Sadzenie drzew owocowych pod kierunkiem instruktora Poluszyńskiego, w czasie zjazdu okręgowego delegatów Kółek rolniczych powiatu lwowskiego w Sokolnikach.

tychmiast opuścił plebanię. Były to przeważnie kobiety — Mankietniczki, wobec których naturalnie ksiądz odmówił żądaniu. Wówczas sfanatyzowany tłum, do którego przyłączyły się i baby z Żukowa, dawne parafianki ks. Dowgiały, wkroczył do mieszkania przemocą. Wyniesiono na dwór dosłownie wszystkie rzeczy, pozostawiając gołe ściany. Opróżniono nawet stodołę i ze stajni i obory wypuszczono księże konie i krowy; wogóle wyrzuciwszy wszystko, co tylko należało do proboszcza i jego służby, zostawiono księdza na dziedzińcu, skąd zabrał go do siebie dopiero hr. Tarnowski z Nacpolska. Wszelkie perswazye nic nie pomagały. Sfanatyzowany tłum na wszystko odpowiadał:

— Nie chcewa księdza i tylo!

Wielki reformator.

W tych dniach obchodził 80-tą rocznicę urodzin Jerzy II, książę Sasko-Meiningeński, którego piękny portret obok musiał zatrzymać mimowoli oko Czytelnika.

A cóż nas obchodzić może jubileusz jakiegoś księcia niemieckiego — gotów na to powiedzieć ktoś nieświadomy. Tymczasem przeciwnie, człowiek ten obchodzi cały świat cywilizowany. On to wszak jest twórcą właściwym dzisiejszego teatru — takiego, jakim go od szeregu lat widzimy. Publiczność kulturalna nawet już nie wyobraża sobie przedstawienia teatralnego bez t. zw. „mise en scène“ w tej formie, w tej doskonałości i staranności, jakie wprowadził ów sędziwy książę Meiningeński, zrazu na swojej nadwornej scenie, a co wszystko stało się wkrótce regułą obowiązującą we wszystkich teatrach świata cywilizowanego. Wzorem im była słynna trupa „Meiningerów“, przez księcia z Meiningen utworzona, a w najidealniejszej doskonałości wprowadzająca w życie teorye artystyczne wielkiego reformatora. Na czemże tedy polegało właściwie nowatorstwo estety z Meiningen? Po prostu na dostrojeniu zewnętrznej strony przedstawienia teatralnego: dekoracyj, kostyumów, poruszania się na scenie poszczególnych osób i mas statystów, zgodności wszystkich grających osób ze sobą i z akcesoryami, a jednego i drugiego ze sztuką graną, do takiego tonu i stopnia, aby o ile możności dawały złudzenie prawdy i życia. Oto dlaczego recenzent teatralny na „Meiningerów“ powołuje się, ilekroć pisząc o pierwszorzędnym teatrze, ma do czynienia z prawdziwie artystycznym zespołem grających i takimże układem reżyserskim, taką wystawą itp. Każdy dyrektor czy reżyser współczesnych teatrów usiłuje przynajmniej zbliżyć się do ideału powszechnie dziś przyjętej reguły, jaką stała się przed laty teorya księcia Jerzego Meiningeńskiego. Nie dziw tedy, że świat artystyczny z czcią należną wymienia imię tego wielkiego reformatora sceny, o którym szersza publiczność dowiaduje się dziś z okazyi jego jubileuszu z pewnem zdziwieniem, że jeszcze żyje. A starzec ten sędziwy dawno już usunął się w domowe zacisze, oddany niepodzielnie swym ukochanym studyom artystycznym, poza któremi zresztą nigdy nie obchodziły go inne sprawy prozy życia, a już najmniej polityka i armia, mimo, że z konieczności musiał choćby tytularnie brać w nich udział, (jest nawet generałem). Los unieszczęśliwił go niewymownie. Oto człowiek ten wysoce uzdolniony i pod względem malarskim przedewszystkiem (skutkiem czego sztuki plastyczne odegrały główną rolę w jego reformie teatralnej), ale zarazem niezwykle muzykalny; człowiek, który właściwie z muzyki rozpoczął swoje dzieło przekształcenia techniki scenicznej — zachorował z czasem na słuch i to w jak przykry sposób: nie popadł mianowicie w głuchotę, lecz choroba uszu objawiła się u niego w słyszeniu fałszywem — tak, że najpiękniejsza harmonia muzyczna przekształca się w jego uchu w najokropniejszy dyssonans



Awantura dyplomatyczna: Mr. Bellamy Storer, ambasador Stanów Zjednoczonych w Wiedniu, którego w niewłaściwy sposób przeprowadzone odwołanie, wywołało drażliwą sytuacyę w dyplomatycznych stosunkach między Austro-Węgrami a Stanami Amerykańskimi. (Do artykułu na stronie 15).

Uroczystości w Sokolnikach.

Przed tygodniem przeżyła duża wieś podlwowska, Sokolniki, dzień pamiętny. Zbiegło się naraz kilka różnych uroczystości z okazyi okręgowego zjazdu Kółek rolniczych powiatu lwowskiego. Reprezentanci przybyli w liczbie pokaźnej.

Przed przystąpieniem do obrad, a po solennem nabożeństwie, odbyło się poświęcenie sztandaru ochotniczej straży pożarnej Kółka rolniczego w Sokolnikach. Aktu wbijania pamiątkowych gwoździ do drzewca sztandaru z wizerunkiem Matki Boskiej i św. Floryana, dokonali rodzice chrzestni.

Illustracya nasza z tej uroczystości przedstawia chwilę stosownego przemówienia dra Bronisława Dulęby, delegata Kółek rolniczych na powiat lwowski.

Po śpiewach i deklamacyach młodzieży szkolnej odbyło się t. zw. „święto drzew“, które właśnie wyobraża druga nasza fotografia.

Po poświęceniu drzew owocowych (w ilości 700 sprowadzonych przez Zarząd główny), instruktor sadownictwa przy Zarządzie głównym P. Poluszyński dokonał aktu sadzenia i demonstrując, wskazał zasadnicze warunki, których przestrzegać należy przy sadzeniu drzew i racyonalnem obchodzeniu się z niemi.



Uroczystości w Sokolnikach: Poświęcenie sztandaru ochotniczej straży ogniowej Kółka rolniczego w Sokolnikach pod Lwowem; przemawia delegat Kółek rolniczych na powiat lwowski, dr. Bronisław Dulęba. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Münz ze Lwowa.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

3

Ciąg dalszy.

W progu zamajaczyła postać ludzka. Było to dziewczę w wieku lat około siedemnastu. Weszła... nie... ona wejść nie mogła... raczej przywlokła się tutaj krokiem chwiejnym, opierając się co trochę o najbliższe przedmioty, by nie upaść.

Zbliżyła się do doktora, zachwiała się i przystanęła o krok przed nim z wyciągniętemi przed siebie rękoma, podobna do ociemniałej lub do lunatyczki.

Jan Anielski zadrżał na jej widok, jak gdyby upiór wśród nocy stanął przed nim.

— Czy to możliwe — myślał, patrząc w przerażeniu na nią — żeby ta istota z martwym wzrokiem zimnych oczu trupa żyła jeszcze... Więc ona się porusza!?

I mimowoli, trwogą przejęty, zrobił ruch ręką taki, jak gdyby chciał bronić jej przystępu do siebie, żywą nieboszczkę w niej widząc... Byłby przysiągł, że czuje wyraźnie odor trupi, jaki mu się przypomniał z kostnic szpitalnych; doznawał wrażenia, jakoby go chłód grobowy owionął, przesycony powietrzem cmentarnem.

A za tę rękę wyciągniętą schwycił go książę — zdawało się — z druzgocącą mocą.

Z trupio bladej twarzy słaniającego się dziewczęcia spuścił Jan wzrok przerażony i zaraz z dywanu podniósł go na surowe oblicze jej ojca.

— Człowieku — szepnął mu tuż nad uchem Czerski, cedząc zgłoski przez zęby i miażdżąc Jana swojem demonicznem spojrzeniem – pomyśl o swojej żonie i o swojem dziecku.

Doktor ochłonął, zebrał wszystkie siły, żeby z badawczym spokojem zajrzeć w twarz dziewczyny.

Oczy w słup, zdawały się patrzeć na niego, nie widząc go wcale. Cera jej twarzy wyglądała jak u trupa, już od kilku dni złożonego w trumnie... Nie mylił się, to nie tylko pierwsze wrażenie: takie same sine plamy, zielonawo-szare cienie wokoło ust i oczu, kości wystające z zapadłych policzków...

Wtem zachwiała się chora, a książę teraz dopiero puściwszy rękę doktora, schwycił córkę w swoje ramiona i prowadząc ją z powrotem za portyerę, mówił do niej głosem jak najpieściwszym, serdecznym, rany gojącym głosem:

— Wróć do siebie, Lorciu... bądź spokojna, mój skarbie jedyny... będziesz ocalona! — i zniknął z nią w sąsiednim pokoju, lecz powrócił natychmiast do swego gabinetu i drzwi znów zamknąwszy za sobą, znalazł się przed doktorem jakimś nagłym, niemal tygrysim skokiem, przeszywając go na nowo swoim dziwnym wzrokiem.

— Panie doktorze, widziałeś pan moje dziecko... Czego jej brak?

— Życia — padło niemal mimowoli z ust lekarza.

Wtedy Czerski nachylił się nad Janem i położywszy mu na ramię swoją białą, zimną rękę marmurową, szepnął niemal do ucha, akcentując tajemniczo każde słowo z osobna:

— Nie, panie doktorze, życia jeszcze jej nie brak, tylko... krwi.

— Krwi!? — krzyknął Jan, chwytając się za głowę. Teraz wiedział on już, czego od niego żądał Mirosław Czerski, zaczynał pojmować, o co tu idzie i dlaczego książę jego właśnie zawezwał do chorego dziecka.

Zimny pot oblał czoło doktora, który byłby w tej chwili jak najchętniej uciekł, gdyby go nie przytrzymywała w miejscu żelazna siła wzroku księcia. A zdawało się Janowi, że oczy Czerskiego błyszczały tak złowrogo w tej chwili, jak u tygrysicy, której chcą młode odebrać.

— Czego książę żądasz odemnie... Co mam począć?

— Słuchaj pan... Tu idzie o śmierć i życie mego dziecka... tu idzie o pańskie szczęście lub rozpacz pańską, proszę o tem pamiętać. Operacya pańska musi się odbyć szczęśliwie i powiedzie się — dokończył z naciskiem, brzmiącym jak dzwon.

Lekarz odetchnął głęboko i niemal zsunął się na fotel najbliższy. Wtedy książę przysunął sobie do jego fotelu krzesełko i także usiadłszy, zaczął Janowi opowiadać w krótkich, zwięzłych, a pełnych treści zdaniach, dawną historyę swego dłuższego pobytu w Brazylii, w czasach, gdy odbywał podróż po wszystkich lądach i morzach.

Wielkopańską fantazyę odbycia jakiejś niesłychanie śmiałej wycieczki w głąb jednej z najdzikszych puszcz brazylijskich, okupił wówczas Czerski ciężką chorobą, na którą zapadł tam na polowaniu. Choroba ta w owych okolicach szerzyła właśnie straszne spustoszenie, a była najniebezpieczniejszą odmianą żółtej febry i zmieniała ludzi w żywe trupy.

— Byłem już bliski śmierci — ciągnął książę dalej — wszelką krew wyssała już ze mnie straszna zaraza, gdy jeden z moich towarzyszów, lekarz, już od dawna nieboszczyk, odważył się na ostatnią próbę... za poradą murzynów, uczestników naszej wyprawy... Zdecydował się jeden z nich ofiarować mi swoją zdrową krew... Zaczyna pan rozumieć, panie doktorze... Przedsięwzięta przez mego przyjaciela operacya powiodła się w zupełności, skoro widzi mnie pan dziś jeszcze żywym i zdrowym...

— A murzyn? — spytał Jan drżącym głosem.

— Żyje po dziś dzień, miewam o nim niekiedy wiadomości umyślnie, a wówczas nawet stosunkowo w krótkim czasie do sił powrócił.

— I o taką to znów operacyę idzie tu w tej chwili, czy tak? — zagadnął młody doktor, jak gdyby przez sen sam do siebie mówiąc.

— Tak jest, panie doktorze — zawołał wtedy książę tonem niemal rozkazującym, gdy zaś dojrzał, wyrażający poniekąd zwątpienie, ruch ręki Jana, dorzucił: — Panie, musisz pan ratować moje dziecko, pomyśl pan o swojem i o żonie swojej.

Przez bladą twarz młodego człowieka przeleciał teraz jak gdyby błysk nieugiętego postanowienia. Spojrzał w surowe oblicze, siwemi bokobrodami okolone i podnosząc się poważnie z fotelu, oświadczył:

— Odważę się.

— Przysiąż mi pan, że się nie cofniesz.

— Oto moja ręka... jestem zdecydowany.

Książę jak szalony wybiegł z pokoju, a do uszu doktora doleciał z poza portyery radosny dźwięk jego głosu:

— Lauro! Loreczko, będziesz ocalona, mój skarbie!

Słysząc to, Jan zadrżał nagle na całem ciele, jak gdyby przywidziała mu się znowu upiorna postać żywego trupa dziewczyny, ale natychmiast przypomniał sobie żonę i dziecko, a myśl, że dla nich musi spełnić, co przyrzekł księciu, kazała mu zebrać całą energię ducha.

Uspakajając się tedy powoli, wodził oczyma po tapecie na ścianach, po obrazach, aż wreszcie wzrok jego padł na przygotowane dla niego na stoliku pieniądze.

Zaraz jednak odepchnęło go coś od paczki tęczowych banknotów, ręką przetarł czoło, gdy wtem drgnęła portyera i w drzwiach ukazał się z powrotem Mirosław Czerski.

— Jesteś pan gotów, panie doktorze?

Ten zebrał wszystkie siły, żeby z siebie o ile możności głośno wykrztusić jedyne słowo:

— Jestem.

. . . .

Pokój, w którym znalazł się teraz lekarz, tonął w matowem świetle różowej ampli kryształowej, a napełniała go dziwną słodyczą odurzająca woń fiołków. Wszystkie przedmioty rozeznawał Jan tutaj jedynie w jakichś niewyraźnych zarysach.

Najjaśniej oświetlone, bo tuż pod amplą się znajdujące, było łóżko śnieżnej białości. Z rozpiętego nad niem baldachimu spływały fałdziste firanki z białego muślinu.

Tu w obramowaniu koronek na dziewiczej pościeli spoczywała chora.

Książę spokojnie rękę położył na ramieniu doktora, mówiąc:

— Zbliż się pan...

A kiedy Jan jeszcze się z miejsca nie ruszał, jak gdyby wahając się w ostatniej chwili, pociągnął go lekko Czerski za rękę, aż obaj stanęli tuż przed łóżkiem.

— Przypatrz że się pan lepiej...

Różowem światłem oblana, wydała się trupioblada twarz Laury wprawdzie bardzo chorobą wyniszczona i oniemal martwa, wszelako refleksy świetlne wydobywały na jej mizerne policzki jakiś cień śladów życia. Teraz dopiero dostrzegł Jan, jak niezwykle piękną była ta dziewczyna.

— Jakież cudne rysy — pomyślał na ten widok — co za profil szlachetny.

Rozchylone lekko wargi, na wpół otwarte oczy... sprawiały wrażenie jak gdyby dziewczę znajdowało się w jakimś śnie czarownym, przez hypnotyzera uśpione.

Długie włosy jasne spadały na ramiona i na biust chorej księżniczki.

— Nie — odezwało się w duszy młodego doktora — ona umrzeć nie może, muszę temu przeszkodzić.

Wtem jakiś głos omdlewający dał się słyszeć — tłumiony muślinami i koronkami. To Laura odezwała się, czując ojca obecność przy sobie.

— Taki mnie lęk bierze... ojczulku.. ty jesteś przy mnie, prawda?

Nagle pochylił się książę nad łóżkiem i gładząc swą delikatną ręką białą faliste włosy córki, uspakajał chorą:

— Jestem, dziecino... ja przy tobie jestem.

— Już pewnie nie ma dla mnie ratunku... ojcze... prawda, że muszę umrzeć... Ach Boże, Boże... już umierać... Myślałam, że się doczekam słońca, ciepła... Ojcze, choćby na krótko staraj się znowu życie mi przydłużyć... jeszcze bym nie chciała umierać.

Poczem wydawała już tylko dźwięki jakieś niezrozumiałe, wreszcie zwarły się wargi jak gdyby w jakiem omdleniu.

Zerwał się książę z łóżka i zwrócił żywo do pilnie badającego chorą lekarza:

— Boże, zmiłuj się nademną... Doktorze, ratuj... działaj póki czas.

Lekarz uczynił krok w stronę łóżka i cofnął się z powrotem, poczem topiąc wzrok w oczach Czerskiego, odważył się wreszcie zapytać:

— A gdzież jest... gdzie... ofiara?

— Tu, tu... wszystko przygotowane.

Książe odszedł szybko i natychmiast powrócił, niosąc na rękach uśpione głęboko dziecko, prześliczne dziecko, jak wyjęty z obrazu aniołek, z dużemi loczkami jasno-złotych jedwabistych włosów.

— Jezus Marya — jęknął Jan na ten widok — Co... ja miałbym... pan byś chciał, żeby...

— Doktorze, jeżeli pan się nie decydujesz, ja się na to odważę... A w takim wypadku na pewne dziecko gotowo zginąć. Pan zaś jako lekarz, nie wątpię, potrafisz je przy życiu zachować — i przeszywał go przy tych słowach spojrzeniem swoich demonicznych oczu, które nie dopuszczały oporu. Ja to dziecko ocaliłem z rąk ludzi, którzyby je byli powoli tak czy owak uśmiercili... Rozumiesz pan, dziecko oddane na garnuszek...

Wtem na łóżku zadrżał znowu głos chorej:

— Umieram, ojcze, ratuj mnie, ojcze.

Te słowa, pełne śmiertelnego lęku, a rozdzierające serce bolesnym dźwiękiem rozpaczy, kazały lekarzowi zapomnieć o wszystkiem.

Nie patrząc na dziecko, śpiesznie przewiązał mu oczy, w chwili, gdy Czerski stał nad nim w dziwnem podnieceniu nerwowem, cały drżący, z oczyma błyszczącemi, jak u zwierza, gotowego do skoku na upatrzoną ofiarę.

Doktor wziął dziecko z rąk jeszcze trzymającego je księcia, zaniósł do łóżka i położył lekko obok chorej.

Czerski zapuścił zupełnie firanki nad łóżkiem i szepnął lekarzowi:

— Tu są wszelkie narzędzia chirurgiczne... tu, wszystko jest, czego panu tylko potrzeba.

Doktor Anielski odważył się na operacyę i przeprowadził ją ręką pewną, mimo, że serce tłukło mu się w piersiach, ciągła myśl jednak o Wandzie i ich synku dodawała mu odwagi. Czuł, że idzie tu nie tylko o życie księżniczki Laury, nietylko o życie obcego i nieznanego dziecka, na ofiarę przeznaczonego, ale zarazem idzie o szczęście najukochańszej dla niego kobiety, o szczęście całego życia ich jedynaka i o własne jego szczęście.

Operacya powiodła się w zupełności i lekarz nareszcie odetchnął głęboko, mówiąc do siebie:

— Stało się.. dzięki Ci Boże...

Następnie zwrócił się do księcia Czerskiego i rzucił mu szeptem tylko dwa słowa:

— Udało się.

Książę nic na to nie odpowiedział, tylko przy łóżku zsunął się lekko na dywan i twarz ukrył w dłoniach, a z piersi jego wyrywał się raz wraz cichy szept tłumionej a z szałem graniczącej radości:

— Ocalona! ocalona!

Morderca.

Z największą przezornością uniósł lekarz dziecko w górę i wyszedł z niem na ręku z poza zasłony muślinowej, kryjącej łóżko panieńskie księżniczki Czerskiej do sąsiedniego pokoju.

Dotknął uchem drobnego ciałka...

— Bogu dziękować, żyje dziecinka...

Opatrzył jak najstaranniej ranę, poczem odwiązał chusteczkę, która dotąd zakrywała oczy i twarz dziecka.

— Co to jest? Jezus Marya! chyba, że się my-

lę... ale nie... Co za dziwne podobieństwo. Ja się przecież nie mylę... ta sama blizna na szyi... Teraz poznaję... to jej dziecko...

I w tej chwili, gdy tak patrzał w piękną twarzyczkę małego chłopaczka, dostrzegł jedno oko napół otwarte, oko bez blasku, martwo w niego wpatrzone... i uczuł, że ciałko stygnące z rąk mu się wysunęło na kanapę, nad którą je trzymał.

Dziecko już nie żyło.

Lekarz śmierć dziecka stwierdziwszy — jak gdyby piorunem rażony — stanął zrazu jak wryty przed małym trupkiem... Potem z piersi jego wydarł się straszny, przeraźliwy, nocną ciszę w pałacu rozdzierający krzyk szalony...

Jak gdyby furyami gnany, rzucił się ku drzwiom.

Te zaś same się właśnie otwarły, zanim klamki się dotknął.

Jakaś blada twarz kobieca zjawiła się tuż przed nim i swojem bolesnem a trwożliwem spojrzeniem przeszyła go na wylot.

Jan cofnął się w przerażeniu od drzwi — jakgdyby poraz wtóry w ten sam wieczór ujrzał upiora. Chciał coś mówić, ale z gardła wydobywały się tylko jakieś dźwięki niezrozumiałe, z których nie dało się utworzyć ani jednego wyrazu.

— Moje dziecko — jęknęła w progu stojąca kobieta, postępując parę kroków naprzód w głąb pokoju.

Ten jeden jej wyraz ugodził tak niemiłosiernie Jana w samo serce, że ku niej cisnął dzikie spojrzenie obłąkanych oczu i jednym skokiem minąwszy ją, znalazł się za drzwiami, przebiegł kurytarz, wpadł na jakieś boczne schody i bez kapelusza, bez płaszcza i laski, uciekł przez ogród na ulicę, przelazłszy z przedziwną zręcznością przez wysokie sztachety żelazne.

Zdawało mu się, że zamiast krwi czuł ogień w żyłach krążący. Potem doznawał wrażenia, że dźwiga ołów we wszystkich członkach. Wreszcie wszystka krew uderzyła mu do mózgu i odebrała mu wszelką świadomość. Kurcz ścisnął serce. Lodowe zimno oblało całe ciało.

W głowie tylko coś młotem waliło i kłuło go tak boleśnie, że gdyby był zdołał krzyczeć, byłby krzyczał z powodu strasznych swych cierpień w tej chwili.

— Morderca! — szumiało mu w uszach.

— Morderca! — krzyczało w nim sumienie.

Pędził przed siebie nieprzytomny, prawie bez tchu, sam nie wiedząc dokąd, to też zdumiał się, jakim sposobem trafił do własnego domu w tym stanie wśród nocy.

Stróż go się przestraszył, otwierając mu bramę i pytaniami go zasypał, zobaczywszy go bez kapelusza, ale doktór nic nie słyszał, nic nie widział.

Znalazł się wreszcie w swoim pokoju.

— Jaśku, na miłość Boską! co ci jest... jak ty wyglądasz!... co się stało? — wołała Wanda, oczekująca go niecierpliwie i w niepokoju. — Mów na Boga, Jasiu!

Doktor patrzał na swoją żonę wzrokiem błędnym, obłąkanym, matowemi oczyma wodząc wokoło dziwnie: nie poznawał jej... Chwiejąc się, zmierzał do drugiego pokoju powoli.

— Janeczku... jedno słówko tylko... co ci się stało? — pytała trwogą śmiertelną przejęta młoda kobieta i chciała zatrzymać go...

Wtem Jan rozkrzyżował obie ręce, wznosząc je w górę.

— Boże... odpuść mi! — jęknął.

I jak dąb podcięty, runął twarzą na posadzkę.

W więzach śmierci.

Na wysuniętej na środek pokoju kanapie, w otoczeniu kwiatów pokojowych i świec płonących — spoczywa trumna.

Dzień bardzo pochmurny wpuszcza mało światła z ulicy przcz rolety w oknach do wnętrza pokoju, w którego półzmroku migocą duże płomyki świec, ciskając żółte blaski na twarz nieboszczyka w trumnie.

Zatopiona w boleści, klęczy obok młoda kobieta w świeżej żałobie. To Wanda Anielska opłakująca męża.

— Jaśku, Jasieńku — szepcą co chwila jej wargi, łzy połykając — ty, mój jedyny... tak odejść odemnie bez jednego słowa pożegnania... bez jednego słowa miłości... Chcieli nas ludzie rozdzielić, a rozłączyła nas śmierć nieubłagana, tak nagła, tak niespodziewana, straszna śmierć!... Tyś mnie przecie tak kochał, Janeczku! czemuś ty mnie opuścił?

— Mamo, mamo — zadźwięczał głosik dziecięcy i w uchylonych drzwiach od sąsiedniego pokoju zjawił się mały Tadzik, drepcąc boso wprost z łóżeczka w białej koszulce.

Na widok wielu świec i kwiatów przy kanapie dziecko przystanęło, szeroko otwierając oczka. A kiedy go matka przyprowadziła do ojca, chłopczyk główkę przekręcił, jedną nóżkę uniósł w górę i ciągnąc matkę za czarną suknię, zawołał:

— A czemu tata śpi?

Matka wobec dziecka chciałaby pokonać bliską wybuchu boleść swego serca, ale przychodzi jej to z trudem wielkim, łzy bowiem mimowoli tryskają z oczu na nowo. Więc kryjąc twarz zapłakaną we włosach dziecka, które trzyma na rękach, nachyla się z niem nad trumną, jak gdyby pragnęła wrazić w pamięć syna widok ojca po śmierci.

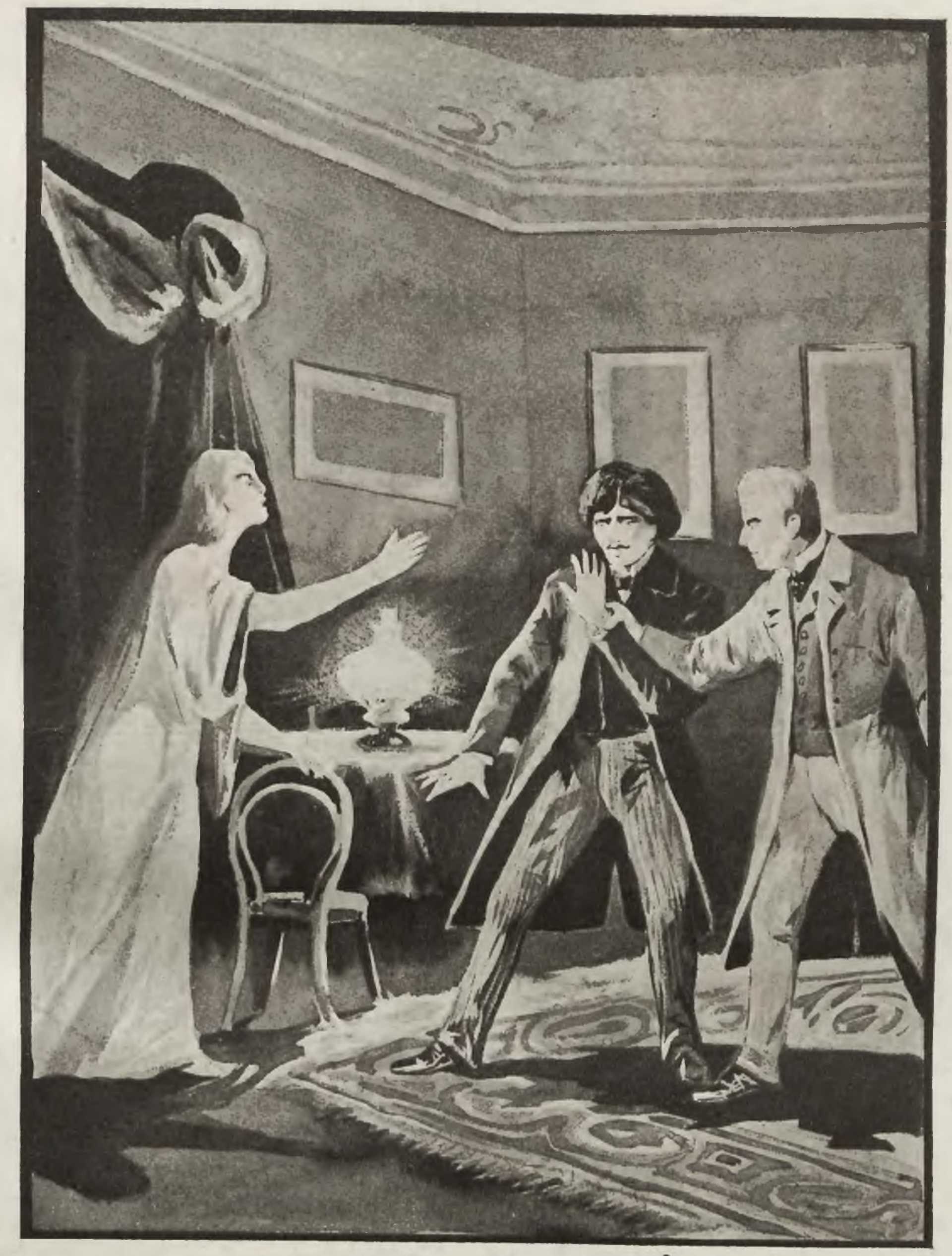
— Tatuś umarł — tłómaczy malcowi.

— Umarł... to co?

— Już się tatuś nie obudzi.

— Tata — woła dzieciak, głośno klaszcząc w małe dłonie — tata, budź się... Tadzik budzi... śpisz tata...

Wanda nie może dziecka utrzymać na rękach.



...Jan zadrżał na jej widok, jak gdyby upiór wśród nocy stanął przed nim. — Czy to możliwe — myślał — żeby ta istota z martwym wzrokiem zimnych oczu trupa żyła jeszcze... I mimowoli, trwogą przejęty, zrobił ruch ręką, jak gdyby chciał bronić jej przystępu do siebie, żywą nieboszczkę w niej widząc... A za tę rękę wyciągniętą schwycił go książę — zdawało się — z druzgocącą mocą...

Rozpacz nią miota. Sadza chłopca na najbliższem krześle, a sama krzepi się, wąchając eter z buteleczki. Łzy obtarłszy nieco, znowu zwraca się do dziecka, głaszcząc je po włoskach.

— Cicho, Tadziuś, nie można tacie przeszkadzać spać. Już się nasz tatuś nie zbudzi... Chodź zę mną, dziecko, wróć do łóżeczka, tyś jeszcze śpiący, Tadziku...

I wyprowadziła dziecko do sypialni, ułożyła z powrotem w łóżeczku, okryła starannie i ucałowawszy gorąco tę jedyną pociechę, jaką miała w tej chwili na świecie, wyszła śpiesznie.

Za drzwiami dopiero wybuchnęła głośnym płaczem żałośnym, przypadła z rozpaczą do kanapy i rzuciła się z jękiem na ciało swego Jana.

Za chwilę wszedł do tego pokoju jeden z kolegów jej męża, serdeczny Jana przyjaciel, towarzysz z lat dziecinnych i z ław uniwersyteckich, również lekarz, Władysław Wrzesiński.

Szczere jego słowa współczucia, któremi starał się pocieszać nieszczęśliwą wdowę, zdołały nieco uspokoić zrozpaczoną kobietę.

— A czy nie każesz go pani sekcyonować — odważył się wreszcie młody doktór zapytać, dowiedziawszy się, że już za dwie godziny mają żałobnicy zamknąć trumnę, żeby przenieść ciało z domu na katafalk przygotowany w dolnym kościele św. Aleksandra.

— Sekcya — krzyknęła Wanda — nie, nie, na to nigdy nie pozwolę! Jakże pan chcesz, bym mogła dać krajać to ciało najukochańszego człowieka.

— Wybacz mi, kochana pani, ale jako lekarz uważałem za stosowne uczynić taką propozycyę przykrą zapewne, ale proszę mi wierzyć, to rzecz zawsze pożądana.. Pani zresztą wie, że to się robi w celu upewnienia się co do istotnej śmierci.

Wanda wstrząsnęła się cała i w przerażeniu rzuciła wzrok naprzód w twarz Wrzesińskiego, a potem w twarz męża.

— Boże mój drogi — mówiła głosem zdławionym trwogą ogromną — więc pan przypuszczasz, że Janek.. panie doktorze, więc to byłoby możliwe... panu się zdaje, że mąż mój mógłby być w letargu.. Jezu!

— Mnie się nie zdaje, tego nie powiadam, ależ pani sama wie, iż zdarzają się niekiedy podobne wypadki.

— Zapewne... ale tutaj przecież lekarz stwierdził śmierć nie ulegającą żadnym wątpliwościom.

— To prawda — odparł doktor Wrzesiński, poczem mimo to zbliżył się do ciała swego zacnego przyjaciela i sam badał je długo.

Nakoniec sam uspokojony co do swych w pierwszej chwili podejrzeń, z powodu nagłej i zagadkowej śmierci Jana, zwrócił się do pani Anielskiej:

— Miała pani słuszność... w tym wypadku sekcya ciała byłaby zupełnie zbyteczną, a zaniechanie tej próby oszczędzi pani tyle przykrości.

Mylić się mogą nawet powagi medyczne. To też niekiedy popełniają lekarze błędy fatalne na pomyłce oparte.

W tym wypadku również pomylił się doktor Wrzesiński podobnie jak na kilka godzin przed nim zawezwany przez Wandę z sąsiedniej kamienicy, znacznie starszy lekarz, który wydał świadectwo, stwierdzające z urzędu śmierć Jana Anielskiego.

Tymczasem nieszczęsny przedmiot fatalnej pomyłki, młody człowiek, żywcem do trumny złożony nie umarł. Żył biedny mąż Wandy, jakkolwiek leżał jak martwy, zimny i nieruchomy — słyszał wszystko, co się około niego działo i co mówiono przez ten czas o nim i z powodu jego śmierci pozornej.

Co za tragedya straszna rozgrywała się w duszy tego człowieka od chwili, gdy ciało jego znalazło się w więzach śmierci!

Boże, gdyby mógł był przynajmniej poruszyć ręką lub nogą, gdyby mógł choćby najlżejszy dźwięk głosu wydać z siebie — by ostrzedz Wandę póki czas... Nic uczynić nie może, mimo, że słowo za słowem słyszy wszystko i rozumie wszystko.

Rozpoznał od razu głos przyjaciela i w duszy czynił wszelkie usiłowania, by młodemu doktorowi dać poznać, że znajduje się tylko w śnie letargicznym... Wszystko napróżno.

Doktor Wrzesiński odchodzi, oddala się, a z nim ostatnia nadzieja Jana.

I znowu słyszy przy sobie wybuchy bolesnej rozpaczy Wandy, które przerywa czyjeś wejście... głos obcy. Poznaje go Jan w trumnie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czternastoletni chłopcy w bitwie pod Mukdenem.

Załączona tu rycina przedstawia dwóch czternastoletnich chłopców Rosyan, którzy w czasie wojny z Japonią, uciekli z domu swych rodziców do Mandżuryi na ochotników. Przebywszy zaiste bajeczne przygody w drodze, dostali się do Kuropatkina i zostali mimo młodocianego wieku przyjęci do służby wojskowej. Obaj odbyli kampanię i między innemi uczestniczyli też w morderczej walce pod Mukdenem, gdzie jeden z nich został w nogę kontuzyowany — znalazłszy się na linii ognia działowego. Obecnie obaj młodziutcy żołnierze, z których jeden (ten po lewej) nazywa się Jegor Michajłowicz Markow, a drugi (ten po prawej) Selman Salomonowicz Herman, powrócili z placu boju na Dalekim Wschodzie do Petersburga i zostaną przedstawieni ministrowi wojny, który na prośbę ich dawnego dowódcy ma im dać pewne odznaczenie wojskowe za udział w bitwie pod Mukdenem.

Uciekinierzy.

Wspaniała grupa, jaką przedstawia duża rycina nasza poniżej — to znowu uciekinierzy z Rosyi. Są to mianowicie emigranci żydowscy, sfotografowani gremialnie za pobytu w Wiedniu, gdzie opiekuje się wychodźcami instytucya dobroczynna pod nazwą „Austryacko-rosyjskie Stowarzyszenie pomocy“. W bieżącym tygodniu odbył się w Krakowie właśnie koncert w sali „starego teatru“ na przysporzenie funduszów tej instytucyi. Nie czytaliśmy dotychczas nigdzie wzmianek o jakichkolwiek kolizyach między gwałtowniejszymi wychodźcami, żądającymi tam pomocy — a komitetem tego stowarzyszenia. Tymczasem — jak z gazet wiadomo — coraz częściej przychodzi do awantur głośnych w różnych miastach przed biurami stowarzyszeń, do których po wsparcia zwracają się żydowscy emigranci rosyjscy. Świeży fakt taki zaszedł np. w Paryżu. W głównem biurze fundacyi Hirszowskiej, zajmującem się ubogimi żydami, uciekającymi z Rosyi i z polskich prowincyi państwa rosyjskiego, a jadącymi przez Paryż do Kanady przeważnie, przyszło do scen gwałtownych z tego powodu, że komitet nie chciał wypłacić zasiłków w wysokości, jakiej wychodźcy żądali. Wówczas emigranci zdemolowali doszczętnie urządzenie biura. Kilku najgwałtowiejszych młodzieńców z pośród nich musiała policya paryska zaaresztować.



Czternastoletni chłopcy w bitwie pod Mukdenem: Jegor M. Markow i Selman S. Herman, obaj 14-letni chłopcy, którzy uciekli z domu po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, dostali się na ochotników do armii Kuropatkina i brali udział w bitwie pod Mukdenem.

Niedźwiedzie bronią kościoła.

Pobożni katolicy francuscy wpadają na coraz to nowe pomysły, byle tylko nie dopuszczać do spisywania inwentarza po kościołach przez świeckie komisye urzędów państwowych. Pamiętają Czytelnicy naszą niedawną illustracyę z jakieś wioski francuskiej w górach, gdzie to parafianie śniegiem zamurowali wszystkie wejścia do kościółka i w ten sposób przeszkodzili inwentaryzacyi. Jeszcze ciekawszy wypadek przedstawia dzisiejsza rycina na podstawie fotografii z wioski w Montjoie w okolicach St. Girons. Tam właśnie miała zjechać komisya z urzędu dla spisania inwentarza starego kościoła. Parafianie tedy radzili gromadnie, jakby temu zapobiedz. Wtem jedna panienka, nazwiskiem Terssac, wpadła na myśl niezwykłą. Dowiedziała się, że jacyś ludzie oprowadzają po okolicy na łańcuchu dwa niedźwiedzie z Pirenejów. Ze swoim pomysłem podzieliła się z proboszczem, który posłał bezzwłocznie po niedźwiedzie, poczem umieścił je na straży przed drzwiami kościoła, z którego progu mógł bezpiecznie odczytać przed komisyą inwentaryzacyjną swój protest w imieniu parafii. Naturalnie przedstawiciele rządu nie myśleli staczać walki z niedźwiedziami i byliby się oddalili, gdyby nie jeden z chłopów, który właścicielom niedźwiedzi zapowiedział głośno, iż skoro która z figur urzędowych poważy się wejść do kościoła, mają na komisarzy wypuścić swoje dobrodusznie wyglądające, lecz niemniej niebezpieczne bestye. Usłysz ł to woźny i zwrócił uwagę cyrkowych obieżyświatów, iż taka sprawka może



Uciekinierzy: Żydowscy emigranci z Rosyi, sfotografowani gremialnie za pobytu w Wiedniu, gdzie opiekuje się nimi „Austryacko-rosyjskie Stowarzyszenie pomocy“.

pachnąć kryminałem. Ulękli się „niedźwiedziarze“ i jęli zapewniać komisarzy, iż bynajmniej nie myślą na nikogo wypuszczać swych poczciwych bestyj, a pilnują, by nikomu nic złego nie zrobiły. Skoro rzeczy taki wzięły obrót, komisya bez obawy wkroczyła do zakrystyi i przeprowadziła inwentaryzacyę, mimo głośnego sarkania parafian. Oburzenie jednak panny Terssac, która wpadła na pomysł z niedźwiedziami, nie miało granic. Dopuściła się nawet zniewagi czynnej względem figur urzędowych, za co ją aresztowano i do St. Girons odstawiono, gdzie biedaczka 5 dni pokutowała w areszcie. Powróciwszy do wsi swojej, nie może się uspokoić z tego powodu, że mimo tak „genialnego“ pomysłu, nie zdołała przeszkodzić „sprofanowaniu kościoła“ przez inwentaryzacyę.

Polska śpiewaczka „kozackiego pochodzenia“.

Znana Lwowianom od dziecka córka wielkiego aktora sceny Skarbkowskiej, śp. Marcelego Zboińskiego, a później młodziutka małżonka sympatycznego aktora i zdolnego komedyopisarza, śp. Ryszarda Ruszkowskiego, owdowiawszy w krótkim czasie, rzuciła się ochoczo do pilnej nauki śpiewu, pracując jednocześnie ciężko na siebie i na dziecko-sierotę, jako telefonistka. Pierwsze kroki na scenie operowej uwieńczyło powodzenie niezwykłe. Piękny głos sopranowy, inteligencya i wrodzone po ojcu zdolności sceniczne, z których zrazu nie myślała korzystać — obok świetnych warunków zewnętrznych, zapewniły pani Helenie Ruszkowskiej od razu karyerę pierwszorzędnej śpiewaczki teatralnej. Pokochała ją publiczność galicyjska, aby rychło utracić ją na korzyść Warszawy, której w krótkim czasie stała się ulubienicą niemniejszą od swej poprzedniczki — Kruszelnickiej. Jej występy w „Manru“ (właśnie w tej roli przedstawia ją nasza fotografia) zyskały zupełne zadowolenie mistrza Paderewskiego. Czyż mogła żądać więcej? Zachwycają się nią od lat kilku serdecznie melomani warszawscy. Aż oto pojechała pani Zboińska-Ruszkowska zaśpiewać obcym, powołana na występy w operze nadwornej w Wiedniu. Krytyka przyjęła je jak najlepiej, wyrażając się korzystnie i o głosie i o szkole i o grze scenicznej. Publiczności podobała się niemniej. Więc — rzecz prosta — musiał jej portret zamieścić miejscowy tygodnik „Das interessante Blatt“ (wiedeńskie „Nowości Illustrowane“, tylko mniej od nas rycin zamieszczające).

Wprawdzie pod fotografią podpisano: Helena Ruszkowska, ale do takich zmian polskie nazwiska już przywykły. Za to zaprotestować stanowczo musimy przeciw wywodom recenzenta tego pisma, który chwaląc bardzo śpiew „primadonny warszawskich teatrów rządowych“, czyni jej jednocześnie krzywdę, pisząc o polskiej śpiewaczce w całym swoim artykuliku, jako o Rosyance i kładąc wszystkie jej zalety na karb tego, że pochodzi „z kraju Mazepy, z kraju Kozaków, z kraju białego terroru“ itp. Zdaje się, że dziennikarze wiedeńscy z konieczności rzeczy zbyt wiele muszą mieć do czynienia stale z polskimi sprawami, więc mając przed sobą pierwszą artystkę opery warszawskiej, mogliby sprawdzić z łatwością nawet w samym Wiedniu, czy jest Polką, czy Rosyanką.



Polska śpiewaczka „kozackiego pochodzenia“: Helena Zboińska-Ruszkowska, primadonna opery warszawskiej, o której, z powodu jej świetnych występów w dworskiej operze w Wiedniu, napisał „Das interessante Blatt“, że pochodzi z Kozaczyzny.

Nowi prezydenci sądów.

Na opróżnione stanowisko prezydenta sądu krajowego w Krakowie, w miejsce p. Brasona, który na własną prośbę przeszedł w stan spoczynku, powołano radcę dworu L e o n a r d a Ł u k a s z e w s k i e g o, dotychczasowego prezydenta sądu obwodowego w Rzeszowie. Nowy prezydent pochodzi ze starego Wiśnicza, gdzie urodził się w r. 1842. Służbę rozpoczął w sądownictwie przed 40 laty; praktykował w sądzie krakowskim, adjunktem był w Brzesku; w 1874 został zastępcą prokuratora państwa w Tarnowie, skąd rychło przeniesiono go do krakowskiej prokuratoryi, gdzie dał się poznać zarówno jako prawnik wytrawny, jakoteż mowca doskonały. Już w r. 1885 został radcą sądu krajowego w Krakowie, w 5 lat później sądu wyższego, wreszcie w 1898 powołano go na prezydenta sądu obwodowego w Rzeszowie, w godności radcy dworu. Przed kilku laty ozdobiono radcę Łukaszewicza krzyżem kawalerskim orderu Leopolda, a obecnie zamianowano następcą radcy Brasona w Krakowie.

Na miejsce radcy Łukaszewskiego przychodzi do Rzeszowa nowy prezydent tamtejszego sądu obwodowego, jednocześnie radcą dworu zamianowany W i l h e l m S e i d l, dotychczasowy wiceprezydent sądu krajowego w Krakowie, chwilowo przydzielony do ministerstwa sprawiedliwości. W Rzeszowie pełnił on już przed kilku laty w ciągu krótkiego czasu czynności wiceprezydenta sądu cywilnego. W Krakowie pozostawił po sobie jak najlepszą pamięć i jako sędzia i jako obywatel. Radca Seidl pochodzi z Grybowa, gdzie urodził się w 1850 i przez długi czas pracował w tamtejszem sądownictwie, dopóki nie przeniesiono go w 1892



Niedźwiedzie bronią kościoła: Epizod z inwentaryzacyi prowincyonalnych kościołów we Francyi: proboszcz w Montjoie, pod strażą dwóch sprowadzonych niedźwiedzi, w progu kościoła czyta protest parafian, wobec komisyi, przybyłej dla spisania inwentarza, a wahającej się wejść do zakrystyi na widok dzikich bestyj.

do Krakowa. Tu był zrazu sekretarzem, potem radcą sądu krajowego, wreszcie został wiceprezydentem sądu krajowego cywilnego. Przed trzema laty powołany do ministerstwa sprawiedliwości, pełnił tam dotąd czynności referenta spraw osobistych sądownictwa zachodnio-galicyjskiego. Dziś powraca znów do kraju na bardzo ważne stanowisko kierownika jednego z największych naszych sądów obwodowych.

W niniejszym numerze zapoznajemy publiczność z portretami obu nowomianowanych prezydentów sądów krajowych.



Nowi prezydenci sądów: Radca dworu i prezydent sądu obw. w Rzeszowie, Leonard Łukaszewski, świeżo mianowany prezydentem sądu kraj. w Krakowie.

Nowy rzecznik spraw polskich w Wiedniu.

Rzecznikiem spraw polskich w Wiedniu stanie się radca sądu kraj. w Krakowie, dr. Tadeusz Bresiewicz, powołany świeżo do ministerstwa sprawiedliwości, gdzie obejmie referat spraw administracyjnych i osobowych dla Zachodniej Galicyi, w miejsce zamianowanego prezydentem sądu obw. w Rzeszowie, radcy dworu Wilhelma Seidla.

Niedawno odznaczony krzyżem kawal. orderu Franciszka Józefa, radca Bresiewicz, którego tu portret umieszczamy, znany jest jako zdolny prawnik w praktyce i teoryi. Wychowanek i doktor Wszechnicy Jagiellońskiej, praktykował w Krakowie w sądzie i w prokuratoryi skarbu, poczem przez kilka lat prowadził własną kancelaryę adwokacką w Kalwaryi. Od r. 1897 dr. Bresiewicz przebywa stale w Krakowie w sądownictwie jako radca, przewodniczy przez trzy lata sądowi przemysłowemu,



Nowy rzecznik spraw polskich w Wiedniu: Radca sądu kraj. w Krakowie dr. Tadeusz Bresiewicz, powołany do ministerstwa sprawiedliwości na referenta spraw administracyjnych i osobowych sądownictwa zachodniej Galicyi.

zasiada w senacie apelacyjnym sądu kraj. cywilnego itd.

Zachodnia Galicya z zadowoleniem dowiedziała się, że referat jej spraw w ministerstwie sprawiedliwości dostał się w tak godne ręce.

Z za kraty więziennej.

Załączona tu fotografia przedstawia Leonarda Melczarka, nadkonduktora Dr. Żel. Nadwiślańskich w Warszawie, jednego z najstarszych pracowników tej kolei, w której służbie pozostaje od lat 29, a kolegował tam między innymi z synem wielkiego Moniuszki i z Janem Jeleńskim, dzisiejszym redaktorem „Roli“. Nazwisko Melczarka dobrze jest znane w szerokich kołach kolejarzy warszawskich. Dla wielkiej zacności charakteru szanują go i kochają koledzy, którzy w swoim czasie wybrali go delegatem do obrad nad kwestyą wprowadzenia w życie ważnych projektów władz kolejowych. Posiedzenia owych delegatów odbywały się wtedy pod przewodnictwem osławionego dziś naczelnika Proskurjakowa. Z nastaniem wielkiego strejku kolejowego w Królestwie, godność delegata zatrzymał Melczarek z powtórnego wyboru służby konduktorskiej kolei Nadwiślańskich. Po



Nowi prezydenci sądów: Wiceprezydent sądu kraj. w Krakowie, przydzielony chwilowo do ministerstwa sprawiedliwości, radca dworu, Wilhelm Seidl, nowo mianowany prezydentem sądu obwodowego w Rzeszowie.

ogłoszeniu stanu wojennego, za staraniem Proskurjakowa, postarał się nie żyjący już dzisiaj dyrektor Iwanow o uwięzienie Melczarka. W drugi dzień ostatnich świąt Bożego Narodzenia do domu Melczarka wpadła w nocy policya, odbyła rewizyę, zabrała papiery i stary rewolwer, od niepamiętnych lat daremnie w biurku leżący — poczem aresztowanego ojca rodziny, z 10 osób złożonej, wywiozła do cytadeli, stąd po długiem śledztwie przeniesiono go do „Pawiaku“, gdzie dotąd przebywa za kratą więzienną, od trzech przeszło miesięcy. Podobno niema nawet nadziei uwolnienia go, w najlepszym razie zostanie Melczarek wywieziony w głąb Rosyi, gdzie niegdyś musiał 9 lat odbywać karną służbę wojskową, za wzięcie udziału w powstaniu r. 1863.

Sądzimy, że portret „polskiego Bismarka“ — jak między sobą przezwali koledzy swego dele-



Aparatem „Nowości Illustr.“ fot. W. Lis.

Zjazd „Ogniwa“ w Krakowie: Uczestnicy zjazdu delegatów wszystkich polskich stowarzyszeń akademickich w Austryi, opuszczający Collegium Novum po posiedzeniu inauguracyjnem.



Z za kraty więziennej: Leonard Melczarek, od 29 lat w służbie kolei Nadwiślańskich w Warszawie, nadkonduktor i delegat kolejarzy, aresztowany w Boże Narodzeni i dotąd więziony w cytadeli i na Pawiaku.

gata, nadkonduktora Melczarka, sprawi przyjemność naszym Czytelnikom ze świata kolejarzy warszawskich, którzy z żywem współczuciem wspominać będą w czasie świąt więźnia-przyjaciela.

Szkoła dramatyczna we Lwowie.

Nowy dyrektor teatru miejskiego we Lwowie p. Ludwik Heller, dopełniając przyrzeczenia, danego w swej ofercie, otwiera już d. 1 maja b. r.



Szkoła dramatyczna we Lwowie: Artysta sceny lwowskiej Franciszek Wysocki, który objął kierownictwo nowej szkoły dramatycznej Ludwika Hellera.

szkołę dramatyczną. Nauka będzie w niej udzielaną bezpłatnie na dwu kursach półrocznych. Uczniowie uzdolnieni mają po roku pobytu w szkole i ukończeniu jej z dobrym postępem zapewniony engagement płatny.

Szkoły dramatyczne w Polsce datują się od Wojciecha Bogusławskiego, który pierwszą taką szkołę założył przy teatrze warszawskim w r. 1811. We Lwowie istniała taka szkoła w latach 1869 do 1872, założona przez „Towarzystwo przyjaciół sceny narodowej“. Wyszli z niej artyści: Wojnowska, Stępowski, Walewski, Wysocki, Kiczman, śp. Skalski i in. Wydział krajowy w 1890 r. podniósł potrzebę założenia szkoły dramatycznej; miała ona istnieć przy konserwatoryum Tow. muzycznego. Kraj zobowiązał się zasilać ją kwotą 3.000 złr. Myśli tej jednak nie urzeczywistniono.

Czyni to dopiero dyr. Heller. Kierownikiem w jego szkole będzie p. Franciszek Wysocki, artysta i reżyser sceny lwowskiej, który wykładać będzie sztukę sceniczną (dykcyę, deklamacyę, mimikę, gestykulacyę, kostyumologię, charakteryzacyę); p. Henryk Cepnik, literat i dziennikarz, krytyk teatralny, wykładać będzie dramaturgię, historyę teatru i dramatu, oraz dzieje rozwoju sztuki aktorskiej. Ponadto wykładanym będzie w szkole język francuski, nauka śpiewu oraz tańców.

W numerze dzisiejszym z tej okazyi podajemy portrety pp. Wysockiego i Cepnika.

Zjazd „Ogniwa“ w Krakowie.

Przed tygodniem odbył się w Krakowie IV zwyczajny zjazd delegatów polskich stowarzyszeń akademickich w Austryi do związku polskich towarzystw akademickich, istniejącego od lat trzech dopiero pod nazwą „Ogniwo“, a wykazującego już wielki plon dodatni przez skuteczne skupianie młodzieży polskiej. „Ogniwo“ rozwija się coraz pomyślniej. Nie dość, że w tak krótkim stosunkowo czasie zdołało skupić w sobie przeszło 40 różnych towarzystw akademików polskich, ale liczba przystępujących do tego związku stowarzyszeń pomnaża się ciągle. Jednocześnie powiększa się ustawicznie ruch naukowy, etyczny i filantropijny wśród ogółu uczącej się młodzieży polskiej.

Na zjazd tegoroczny do Krakowa prócz reprezentantów stowarzyszeń akademickich w Austryi, przybyli także delegaci młodzieży polskiej z Warszawy, z Moskwy i Kijowa, delegaci zaboru pruskiego z Poznania, wreszcie przedstawiciele ogólnego stowarzyszenia młodzieży polskiej „Zjednoczenie“ ze Szwajcaryi.

Zanim przystąpiono do prac sekcyjnych trzydniowego kongresu, odbyło się w ogromnej sali Kopernika w pięknym gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego, zebranie inauguracyjne uczestników Zjazdu pod przewodnictwem prezesa „Ogniwa“ p. Filasiewicza, a wobec przedstawiciela senatu akademickiego krakowskiego, ks. rektora Pawlickiego. Jedna z dwóch załączonych tu rycin przedstawia właśnie uczestników zjazdu, wychodzących po inauguracyjnem zebraniu z Collegium Novum. Wśród gości zwracali szczególną uwagę poważnym stro-



Szkoła dramatyczna we Lwowie: Henryk Cepnik, krytyk teatralny, który będzie wykładał dramaturgię w nowej szkole Ludwika Hellera.

jem narodowym trzej reprezentanci młodzieży węgierskiej, przybyli na zjazd do Krakowa z Budapesztu. Skorzystaliśmy z tej okazyi, żeby dla „Nowości“ zdjąć przed gmachem uniwersytetu osobną grupę, na której widać wyraźnie trzech Węgrów.



Aparatem „Nowości Illustr.“ fot. W. Lis.

Zjazd „Ogniwa“ w Krakowie: Grupa uczestników zjazdu polskich studentów z Austryi przed Collegium Novum w Krakowie: na przedzie w narodowych strojach trzej goście z Budapesztu, jako przedstawiciele węgierskiej młodzieży akademickiej.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

4 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Stanęła obok niego, a w oczach błyszczał jej ogień.

— W to nie wątpię ani chwili — odparł jej brat — bo przecie wszystko w twojej mocy. Przypominasz sobie?... Haha, dawne to czasy; matka nasza prała studentom bieliznę, a nas posyłała do szkoły baletowej. Pamiętasz? Baletmistrz ciągle prawie targał mnie za uszy i bił po twarzy, wtedy tyś wystąpiła i wzięłaś mnie w obronę. Gdyby to była zrobiła inna jaka dziewczyna, no, miałaby ona za swoje, ale ty mogłaś sobie już wtedy na wszystko pozwalać. Od tego czasu dobry Huhle nigdy mnie się nie dotknął, zadurzył się w tobie na śmierć. No, to było dawno. Cóż dopiero teraz, kiedy jesteś w kwiecie wieku i piękności, terazby ci się nie miało udać zrobić z hrabią Pardua, co zechcesz? To byłoby...

— Ach, tego jestem pewna — przerwała mu niecierpliwie Ilona — główna rzecz teraz, w jaki sposób rozwiązać ten ślub?

— Zdaje mi się, że jedynym środkiem jest rozwód — wtrącił Jan, wykrzywiając usta, jak dobrze wyćwiczony klown cyrkowy.

Ilona uderzyła go wachlarzem w twarz, mówiąc z gniewem:

— Schowaj sobie te wszystkie miny na wieczór; przydadzą ci się, jako „głupiemu Augustowi“, jak będziesz na arenie, ale tutaj mi ich nie pokazuj.

Brat Ilony westchnął głęboko, ale mimowoli wykrzywił twarz z takim drwiąco-bolesnym grymasem, że piękna tancerka rozśmiała się na całe gardło.

— No, no, nie gniewaj się, Jaśku — uspokajała go. — Jak zostanę hrabiną Pardua, to już nie będziesz musiał zabawiać głupiej cyrkowej publiczności; wezmę cię do siebie na sekretarza, albo też zostaniesz zarządcą mego majątku. Toż to będzie życie!

— Ba, gdyby to już było! — westchnął Jan. — Ale do tego jeszcze daleko.

— Trzeba wymyśleć coś oryginalnego, w jakiby sposób sprzątnąć ze świata tę młodą gąskę, a zobaczysz, że nim miesiąc upłynie, ja będę hrabiną Pardua.

Prawdopodobnie też wymyśliła coś oryginalnego, bo nachyliła się i długo mu coś szeptała do ucha.

— Więc? — spytała, skończywszy szeptanie.

— Sądzisz, żeby ją uśpić na wieki? — zapytał cicho brat, patrząc na nią zdumionym wzrokiem. Ale bo też z jej twarzy znikł urok i czar, jakim zwykle jaśniała, oczy jej nabrały złego blasku, tak, że wyglądała teraz, jak demon zła i zniszczenia. Nie odpowiadała wprawdzie nic, ale brat wyczytał z płomieniących jej oczu całą odpowiedź.

— To jednak byłoby morderstwo! — szepnął wreszcie.

— Więc co z tego? — odparła również szeptem — zbudujemy na niem nasze szczęście.

Czoło rudego pokryło się całą siecią zmarszczek.

— Nie jest to łatwa sprawa — mówił dalej — ryzykuje się własną głowę. Mojej tam wprawdzie nie szkoda, ale twoja cudowna główka, gdyby na nią nałożono stryczek...

— Przestań! — przerwała mu Ilona i ukryła twarz w dłoniach, drżąc cała — jak możesz mnie tak przerażać!

— Wiesz, Ilono — odparł brat — dla ciebie zrobię wszystko, życie nawet moje złożę za ciebie w ofierze, ale żebyś mi potem nie wyrzucała, że wprowadziłem cię na drogę zbrodni, bo droga to śliska, jak szyba lodu i kto nie jest na niej pewny, ten musi upaść. Jeżeli chcesz, to zrobię to, czego żądasz, ale o jedno cię proszę: przyrzeknij mi, że sama nigdy takiej zbrodni nie popełnisz!

Piękna tancerka nie czuła, ile bezgranicznej miłości i zaparcia się siebie brzmiało w jego prośbie. Patrzała na brata, który ją jak bóstwo uwielbiał, tylko jak na posłuszne swej woli narzędzie i omal, że nie wybuchła śmiechem, słysząc powyższe słowa. Przecież byłaby szaloną chyba, gdyby sama popełniła zbrodnię, mając brata, który jej dokonać musiał, gdy ona sobie tego życzyła.

— Możesz być spokojny, Jaśku — uspokajała go — jeżeli będę miała jaki plan, zawsze się z tobą nim podzielę. Jednak. ażeby nie odstępować od rzeczy, wpadła mi właśnie do głowy wspaniała myśl, w jaki sposób możemy sprzątnąć hrabinę Pardua.

— Mów — piękna siostrzyco — rzucił szybko Jan.

Wzięła go za rękę, posadziła obok siebie na szezlongu, pochyliła swą czarownie piękną główkę, zbliżyła usta do jego ucha i mówiła tak cicho, że nikt, prócz niego, słyszeć jej nie mógł. Ale to, co mówiła, musiało być straszne, okropne nawet, bo brat jej powstał nagle i wpatrzył się w nią przerażonym wzrokiem.

— Więc to miałbym zrobić z młodą hrabiną? Ilono! Tyś chyba oszalała!

— Bynajmniej! — odparła szorstko. — Musisz przecie przyznać, że plan mój jest dobry. Nikt w świecie nie dowie się, w jaki sposób młoda hrabina znikła ze świata.

— Ależ Ilono! — rzucił klown — czy nie możnaby wymyśleć czego innego? Bo to, co ty wymyśliłaś, jest przecie zbyt okropne!

Wstrząsł się cały, jakby mu szpik zamarł w kościach. Piękna tancerka wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Znam jeszcze kilka sposobów i środków, które mnie mogą zaprowadzić do celu, ale właśnie ta myśl, którą ci podałam, jest najbezpieczniejszą i jeśli ty nie wykonasz mego planu, to ja go wykonam. Zdaję sobie wprawdzie sprawę z tego, że do wykonania tego planu miękka ręka kobieca jest za słabą, ale znasz mnie, Jaśku, i wiesz chyba o tem, że, aby osiągnąć mój cel, abym została hrabiną Pardua, nie cofnę się przed niczem, nawet przed morder...

Ostatnie słowo wymówiła tak cicho, że go prawie słychać nie było, ale klown musiał je zrozumieć, bo chwycił jej rękę i z niemą prośbą w oczach zaczął mówić:

— Nie, Ilonko, przyrzekłaś mi, że sama nigdy zbrodni nie popełnisz, wiesz dlaczego. — Widzę, że nie dasz się odwieść od powziętego zamiaru, wobec tego jestem gotów zrobić, co zechcesz. Prawdę powiedziawszy, sam się wzdrygam na samą myśl o czynie, jakiego mam dokonać, ale go dokonam, bo cię kocham, siostrzyco!

— Wiedziałam o tem! — zawołała uradowana. — Jednak musisz to zrobić prędko, dzisiaj jeszcze, bo czas ucieka, a potem, Jaśku, potem będziemy żyli razem weseli i szczęśliwi.

Podała mu palto i pomagając mu ubierać się, kończyła:

— Idź zaraz, aby wszystko przygotować. Tymczasem, życzę ci powodzenia.

Zsunął kapelusz głęboko na czoło, a głos jego brzmiał dziwnie, kiedy mówił:

— Ilonko, wchodzę teraz na straszliwą drogę. Przysięgnij mi, że nigdy się odemnie nie odwrócisz, nawet, gdybym został mordercą — przecież, jeśli nim zostanę, to tylko dla ciebie!

Słowa te ledwie mu wyszły przez gardło, a oczy rozszerzyły mu się, jakby chciały rozsadzić czaszkę. Ilona ze strachem odwróciła się od niego, bo wyglądał straszliwie.

— Idź już, idź — nagliła go.

— Nie, przysięgnij wprzód!

— Oto moja ręka — odparła niecierpliwie — przysięgam ci, że jeśli będę szczęśliwą, ty zawsze będziesz przy mnie.

— Tak, teraz jestem spokojny, teraz zrobię dla ciebie wszystko!

Wyszedł. Ilona zatarła ręce z radości i rozśmiała się w głos. Był to szatański iście, nawpół tłumiony śmiech, ale ten śmiech zamarł jej na ustach, kiedy w tej chwili w drzwiach buduaru stanął jakiś mężczyzna w żebraczym, obszarpanym stroju.

Twarz jego była pokryta zmarszczkami, obrzmiała od zbytniego używania alkoholu. Nos czerwony, opuchły, odbijał od niej jak błędny ognik, podczas gdy oczy były mdłe, pozbawione blasku. Ilona chciała właśnie zadzwonić na służącego i kazać mu wyrzucić natrętnego przybysza, ale obdartus położył jej ciężką, brudną rękę na ramionach.

— Nie spiesz się tak, dziewczynko, nie spiesz się — bełkotał pijany. — To dobre! Przekonuję się teraz, że mnie Ilonka wcale znać nie chce — i osunął się bezceremonialnie na szezlong. — No, rozjaśnia ci się w głowie — mówił, śmiejąc się i patrząc na jej zakłopotaną ciągle twarzyczkę — tak, tak, to ja jestem w swojej własnej osobie, dobry baletmistrz Huhle, twój pierwszy kochanek — ha, ha, ha! Ileś ty miała lat, gdym cię pierwszy raz pocałował? Nie całe szesnaście, do krocset dyabłów! Zrobiłaś jednak karyerę, o, to przyznać muszę. Mieszkasz, jakby jaka księżniczka, ha, ha, ha!

Nie mogąc ani słowa wymówić, patrzyła piękna tancerka przerażonym wzrokiem na obdartusa, który najwygodniej sadowił się na szezlongu, jakby wcale nie miał zamiaru tak prędko stąd wychodzić.

— No, no, Ilonko, przyjdźże raz do siebie. To rzeczywiście jestem ja; wiesz chyba, skąd do ciebie przychodzę!

A kiedy mu nie odpowiadała, mówił dalej, śmiejąc się dziko:

— Z więzienia, duszko, z kryminału. Wsunęli mi cztery lata, za co, to ci później opowiem, zresztą możesz się sama domyśleć. Wiesz, że zawsze miałem gust na młode dziewczęta, a ponieważ ta, którą wówczas kochałem, nie miała jeszcze lat czternastu, wsunęli mi cztery lata. Jakoś to przeszło, ale cóż z tego, kiedy w dwa lata później wpakowano mnie znowu do ula! I wiesz, kogo mi dodano do towarzystwa?

Przerwał na chwilę i znowu rozpoczął:

— Widzę, że zgadnąć nie możesz, no — twego czcigodnego małżonka!

Ilona krzykła przeraźliwie, odrzuciła puszyste loki w tył, ale były baletmistrz nie dał jej przyjść do słowa.

— Ano tak, duszko — rzekł. — Z początku nie wiedziałem, że to twój mąż, anim tego nawet nie przeczuwał, bo nigdym nie przypuszczał, abyś była tak głupią i wychodziła za mąż — ale pewnego dnia zaczął mi opowiadać historyę swego życia, jak cię poznał — wiesz, on cię jeszcze i teraz kocha, słowo ci daję — no, rozweseliło mnie to i zapytałem go, czy wie o tem, że i ja miałem raz szczęście być twoim kochankiem.

— Powiedziałeś mu to? — syknęła tancerka.

— I, Boże uchowaj, cóżby mi z tego przyszło? Nie mówiłem mu też ani słowa, że mamy oboje tak zwany owoc naszej miłości — ba, cóż się właściwie z dziewczyną dzieje?

— Nie mów mi o dziecku, nie chcę nic o niem wiedzieć, wogóle nic mnie ono nie obchodzi! — wybuchła Ilona, drżąc z wściekłości na całem ciele.

— No, no, Ilonko — uspokajał ją Huhle — nie chciałem cię przecie gniewać; niestety, dziecko to przecie dla nas obojga było kulą u nogi. Ale, żeby znów wrócić do twego męża, wiesz, on ma jeszcze cztery lata siedzieć. Pomimo, że tylko przez ciebie dostał się za kratki — był przecie kasyerem w porządnym banku — bo dla ciebie okradł kasę i za to dostał sześć lat ciężkiego więzienia, zdaje się, że jeszcze teraz durzy się w tobie jak ośmnastoletni młodzik, więc przynoszę ci odeń serdeczne pozdrowienie i tysiąc całusów. Mówił mi sam przecie: Te trzy lata jeszcze jakoś przejdą, a potem znajdę się znowu na łonie mojej Ilonki.

Ilona wściekła z gniewu podarła na strzępki jedwabną chusteczkę i rzuciła na ziemię.

— Dosyć tej gadaniny krzyknęła — powiedz, ile potrzebujesz, a potem wynoś mi się stąd! Wiesz chyba, że nie warto ze mną zadzierać!

Huhle jednakże nic sobie nie robił, jak się zdawało, z jej groźnej miny, bo odparł najspokojniej w świecie:

— Umiesz czytać myśli, Ilonko: dalibóg, ja właśnie po to przyszedłem...

Ale w tej chwili śmiech skonał mu na ustach, utkwił ponury wzrok w drzwiach i podniósł się z szezlongu.

Twarz Ilony zbladła również jak płótno. Podeszła ku drzwiom i słuchała przerażona ostrych głosów, jakie się rozlegały na kurytarzu. Huhle przyskoczył ku niej.

— Ratuj mnie! Ukryj mnie! To policya! — syczał rozpaczliwie — a widząc, że Ilona obojętnie wzruszyła ramionami, ozwał się półgłosem, pełen najwyższego wzburzenia:

— Ilona! Ilona! Do krocset! Jeżeli mnie nie uratujesz, to dalibóg powiem w sądzie, żeś zamordowała nasze dziecko!

Zbladła jak ściana i już chciała otworzyć drzwi, aby go przez nie wpuścić do dalszych pokojów, wtem silnie do drzwi zapukano i w tej chwili weszło do pokoju trzech policyantów.

ROZDZIAŁ VIII.

Jasnowidząca.

— Mamo! Mamo! Gdzie mama? Ja chcę do mamy!

Tak wołał mały Fredziu dzień i noc, a stary zarządca zamku nie mógł go w żaden sposób uspokoić. Dowiedział się z trudem, jak mu na imię, ale cóż to pomogło? Cóż się stało z nieszczęśliwą matką?

— Po co tu mama z tobą przyszła? — pytał po raz setny może staruszek i zawsze otrzymywał jednę i tę samą odpowiedź:

— Chcieliśmy iść do taty!

Zdziwiony potrząsł staruszek głową. Nie mógł pojąć tej zagadkowej sprawy. Biedna żebraczka z dzieckiem i hrabia Pardua? Nie, przecież ich razem zestawiać niepodobna. Ale cóż hrabia zrobił z nieszczęśliwą? Gdzie ona się podziała?

— Wielki Boże! — szeptał starowina zsiniałemi ze strachu wargami. — Czyżby ją hrabia zamordował? Wybiegł z zamku jak szalony i kazał się wieźć na kolej. Cóż zrobił biednej żebraczce?

I duże łzy stoczyły mu się po licach, kiedy spojrzał na chłopczynę, który, szukając ojca, stracił matkę i tak za nią lamentował.

— Cóż ja pocznę z dzieckiem? — skarżył się bezradnie. — Gdybym chociaż wiedział, co się z twą matką stało, gdzie ona się podziewa, to jużbym ja trafił do niej — mówił do Fredzia — i ciebie bym tam zaniósł.

A widząc, że chłopczyna wybuchł znowu rozpacznym płaczem, zaczął go pocieszać:

— Zaczekaj jeno, Fredziu, a nie płacz więcej. Jutro z pewnością mamusia przyjdzie po ciebie.

Jakby na stwierdzenie tych proroczych słów, zjawiła się rzeczywiście na drugi dzień na dziedzińcu zamkowym biedna kobieta, w łachmany prawie okryta. Mały Fredziu, ujrzawszy ją z okna, zawołał uradowany: „Mama! Mama!" — i pobiegł ku niej, otworzył ciężkie drzwi i wybiegł za nią aż na kurytarz.

Z piersi matki wydarł się krzyk rozdzierający serce. Był to krzyk tęsknoty i bólu, jaki tylko matka wydać może. A w chwilę później biedaczka klęczała już na ziemi, obsypując dziecko pocałunkami.

Stary zarządca, zobaczywszy tę scenę, stanął wzruszony ze łzami w oczach. Zaprowadził matkę i dziecko do swego pokoju i przez dłuższy czas siedział w milczeniu, patrząc na obopólny wylew radości. Dopiero kiedy matka zaczęła mu dziękować za opiekę nad Fredziem, ozwał się do niej pełnym współczucia głosem:

— Droga pani, nie chcę się wdzierać w tajemnice pani, jednak chciałbym się dowiedzieć, po co pani właściwie przyszła do hrabiego?

Po bladej, znużonej twarzy nieszczęśliwej przebiegł bolesny skurcz.

— Chociażbym panu powiedziała, nie uwierzyłby mi pan. Dlatego niech się pan więcej nie pyta. Jestem nieszczęśliwa, opuszczona przez wszystkich i nie mam nic, ani nikogo, prócz mego dziecka. Ach! Gdybym nie była chora, gdybym była wiedziała, że mój Fredziu tutaj się jeszcze znajduje, byłabym tu wcześniej przyszła.

— A gdzie pani udać się zamierza? — pytał dalej staruszek. — Co pani zrobi z dzieckiem?

Głuche wzruszenie ramion było odpowiedzią i ono to wzruszyło staruszka bardziej, aniżeli skargi, choćby najwymowniejsze.

— Droga pani! — rzekł, ujmując nieszczęśliwą za rękę. — Jestem wprawdzie biednym człowiekiem, który, prawdę powiedziawszy, żyje jeno z łaski na pańskim chlebie, jednak może będę pani mógł pomódz. Niech pani zrzuci z serca wszystkie troski i bóle, niech się pani nimi ze mną podzieli, a jakaś rada znaleźć się musi.

Jednak biedaczka wstrząsnęła głową i westchnęła:

— Nie mogę się z panem podzielić mem cierpieniem, powiedziałbyś pan, że jestem waryatką, jeślibym panu wyjawiła, że... Nie, dziękuję panu. Mnie chyba sam Bóg tylko zdoła dopomódz.

— W takim razie niech mi pani powie, dokąd pani chce iść z dzieckiem?

— Do miasta!

Staruszek pytał ją jeszcze o rozmaite rzeczy, ale zawsze zbywała go półsłówkami, tak, że nic z niej nie mógł wydobyć. Bo i pocóż miałaby się wywnętrzać? Przecież on by jej z pewnością nie uwierzył, wziąłby ją za waryatkę, gdyby mu powiedziała, że hrabia Pardua jest jej mężem, ojcem jej dziecka. Nie mogła nawet w zamku pozostać, musiała uciekać czemprędzej, bo wiedziała, że jej grozi niebezpieczeństwo.

Dzisiaj rano uciekła z pałacu hrabiego w mieście, bo usłyszała przypadkowo rozmowę służących, z której się dowiedziała, jak straszny los gotował jej własny jej mąż. Toż on chciał ją oddać do szpitala waryatów, uznać ją za obłąkaną. Ale równocześnie dowiedziała się, że dziecko jej jest na zamku Schleinitz. Skorzystała więc z najbliższej sposobności, uciekła i przybiegła tutaj.

Co dalej? Co będzie dalej? Tego nie wiedziała. W mieście miała przynajmniej jakiś dach nad głową, wynajmowała bowiem od jakiejś ubogiej rodziny maleńką izdebkę na podaszu. Tam postanowiła wrócić. Przecież — mówiła sobie — znajdę gdzie jaką robotę, przecież mnie Bóg nie opuści!

Mrok już zapadł, kiedy Małgorzata Wilding z dzieckiem na ręku znalazła się na pustych ulicach miasta. Zawierucha zaczęła szaleć na nowo, wiatr wył przeraźliwie.

Śmiertelnie znużona i drżąca z zimna doszła nareszcie do domu, w którym mieszkała i wyszła na trzecie piętro. Zapukała do swojej gospodyni, ale ta nawet drzwi nie uchyliła. Dopiero po chwili ukazała się przez szparę obrzękła, czerwona twarz jakiegoś pijaka, który zaczął na nią krzyczeć:

— Nareszcie już się to skończyło! Dosyć długo cierpieliśmy panią u siebie, ale my też nie jesteśmy bogaci. Pokój pani został dzisiaj wynajęty. Niech sobie pani poszuka innego mieszkania!

— Boże — zawołała nieszczęśliwa! — Zlitujcie się ludzie. Dokądże się mam udać w nocy razem z dzieckiem?!

— Idź pani na policyę! Niech pani policya da mieszkanie! — odparł tensam pijacki głos.

Przez chwilę stała nieszczęśliwa bez ruchu, wreszcie ze łkaniem opuściła niegościnnych gospodarzy, zeszła schodami na dół i wkrótce znalazła się znowu na ulicy, bezdomna w zimną, śnieżną noc!

Bez celu tułała się po ulicach, do późna w noc. Bramy domów wszystkie już były zamknięte, a zawierucha srożyła się ze zdwojoną siłą. Członki jej były prawie bezwładne, zmarzły zupełnie. Mały Fredziu, również skostniały ze zimna, stracił przytomność i zasnął na ramionach matki. Wiedziała, że w takich okolicznościach dziecko musi umrzeć, ale sił dodawała jej pewność, że i ona nie wytrzyma długo, ale wraz z synem znajdzie śmierć na ulicy. Cóż ją zresztą mogło wstrzymywać? Co jej mogło dodawać ochoty do życia? Jutro rano znajdą mnie ludzie zmarzłą i pogrzebią po chrześcijańsku — mówiła do siebie.

Szła ciągle przed siebie skróś zaspy śnieżne, wśród wichru, który jej mroził wszystkie członki oddechem śmierci. Za miastem już prawie ujrzała na słupie tablicę z napisem:

„Pamiętajcie o biednych, głodnych zwierzętach w zimie!"

Stowarzyszenie opieki nad zwierzętami.

Przeczytała ten napis i na ustach jej pojawił się bolesny, ironii pełen uśmiech. Może jej przyszło na myśl, dlaczego niema żadnego stowarzyszenia opieki nad ludźmi, nie mającymi dachu nad głową. Przecież przydałyby się tablice z napisem: „Pamiętajcie o biednych, głodnych i bezdomnych ludziach w zimie!"

Wiatr dął coraz mroźniejszy. Nieszczęśliwa wlokła się jeszcze kawałek, ale nareszcie nogi jej odmówiły posłuszeństwa — upadła.

W oczach zaczęło jej migać tysiące błyskawic, w rozpalonym mózgu syczały jakieś nieznane, zielone płomienie, wreszcie straciła przytomność. A na nią padały coraz gęściej grube płaty śniegu i okrywały nieszczęśliwą białym całunem.

Naraz dał się słyszeć tentent podków i stukot pędzącego szybko wozu, który się zbliżał coraz bardziej. Jeszcze sekunda, a jeżeli chora się nie zbudzi, to zmiażdżą ją i dziecko koła wozu, bo woźnica nie może jej zobaczyć. Już konie przybiegły ku biednej zasypanej śniegiem, ale naraz cofnęły się i mimo nawoływań woźnicy nie chciały ruszyć naprzód.



..Stój! Stój! — zawołał wzruszonym głosem — tam w śniegu leży jakaś kobieta!....

Wtem z wozu wychylił się jakiś mężczyzna.

— Stój! Stój! — zawołał wzruszonym głosem — tam w śniegu leży jakaś kobieta!

Mówiąc to skoczył z wozu i podszedł do nieszczęśliwej.

— Na Boga! — zawołał, schylając się nad nią — toż to kobieta z dzieckiem. Wojciechu, chodźcie-no prędko i pomóżcie mi!

— Zamarzła biedaczka — szepnął Wojciech.

— Nie, jeszcze nie — odparł pan, klęcząc obok zimnych zupełnie zwłok — ratunek jeszcze możliwy. Pomóż mi jeno zanieść biedactwo do powozu. Jak Bóg pozwoli, to uda mi się jeszcze przywrócić oboje do życia.

Chłopca ułożył na poduszkach, a Małgorzatę wsunął w róg powozu.

— Do domu, Wojciechu! Nie pojedziemy już do chorego.

— Wedle rozkazu, panie doktorze — odparł woźnica, strzelając z bata.

Za chwilę wóz zatrzymał się przed domem doktora Stürmera.

— Weźcie chłopca, Wojciechu — rozkazał lekarz — ja poniosę kobietę. Biedaczka jest tak wycieńczona i zgłodniała, że można ją nieść jak dziecko.

Na pierwszem piętrze wyszła przeciw nim kobieta, która, zobaczywszy lekarza, zawołała:

— Jezus, Marya! Adolfie! Co ty niesiesz?

— Dwoje nieszczęśliwych ludzi, droga mamo — odparł syn — Bóg ci wynagrodzi, jeśli się nimi zaopiekujesz.

A kiedy doktor ułożył nieszczęśliwą Małgorzatę Wilding na sofie, matka Stürmera zapytała ze współczuciem:

— Gdzieżeś ją znalazł, Adolfie?

— Wracałem ze szpitala — ale, opowiem ci to kiedy indziej, moja mamo. Tymczasem każ zgotować dwie filiżanki dobrego bulionu.

Do pokoju wszedł Wojciech i położył na łóżku chłopczynę, który zdumionemi oczyma wodził naokoło. Matce Stürmera łzy puściły się z oczu.

— Biedaku ty — szepnęła, głaszcząc jasną czuprynę chłopca, poczem pobiegła do kuchni, aby przygotować pokrzepiający napój. Kiedy wróciła, rozebrała sama małego Fredzia i ułożyła go do ciepłego łóżka. Doktor Stürmer zajął się tymczasem cuceniem chorej, ale wszystkie jego usiłowania pozostały na razie bez skutku. Matka jego wlała chłopczynie do ust bulionu i ucieszyła się, kiedy malec, napiwszy się trochę, zasnął spokojnie.

(C. d. n.)

Bartnicy podlwowscy.

Hodowla pszczół stała zawsze na bardzo wysokim poziomie w Polsce, a miody polskie słynęły na świat cały. Niestety z upadkiem Polski i przemysł bartniczy poszedł w zaniedbanie. To też szczere uznanie należy się Kółkom rolniczym za usiłowania, podjęte około podniesienia bartnictwa na dawny poziom. Jednym z podjętych w tym celu kroków był kurs pszczelniczy, który odbywał się przez cały tydzień w ostatnich dniach marca



Koniec wojny z Węgrami: Nowy minister oświaty na Węgrzech, Albert hr. Apponyi, który jeszcze przed tygodniem uchodził za osobistego wroga cesarza Austryi.

w Zubrzy pod Lwowem. Na kursie tym naukę teoretyczną wykładał instruktor pszczelnictwa przy Zarządzie gł. p. Wojciech Mendychowski, praktycznemi demonstracyami zaś kierował profesor uniwersytetu lwowskiego dr. Teofil Ciesielski. Program nauki obejmował budowę ula, poznawanie składu dobrego i zdrowego pnia pszczół, futrowanie ula, zbieranie roi, odbieranie miodu itp. Na kurs uczęszczało 33 uczestników z kółek rolniczych powiatu lwowskiego. Zakończeniem tygodniowego kursu był egzamin wobec zaproszonych gości, starosty lwowskiego radcy Franza, inspektora Hovorki i innych. Egzamin wypadł nadspodziewanie dobrze, to też prof. Ciesielski i dr. Dulęba, członek zarządu głównego, nie szczędzili uznania instruktorowi i uczniom za gorliwą i tak skuteczną pracę. Wszyscy też uczniowie otrzymali poświadczenie z odbytego kursu.



Koniec wojny z Węgrami: Juliusz hr. Andrassy, nowy minister spraw wewnętrznych w gabinecie Wekerlego na Węgrzech.

W numerze dzisiejszym podajemy właśnie grupę uczestników kursu pszczelniczego w Zubrzy pod Lwowem.

Echa karnawału w Sanoku.

Przez cały ubiegły tydzień toczyła się przed lwowskim trybunałem orzekającym rozprawa karna przeciw 28 robotnikom z Sanoka, oskarżonym przez prokuratoryę państwa o to, że w dniu 3 stycznia, kiedy grono urzędników sanockich odbywało w tamtejszem kasynie zabawę z tańcami, urządzili demonstracyę przeciwko tej zabawie, jako nielicującej z żałobą narodową ze względu na współczesne wypadki w Królestwie Polskiem i podczas tej demonstracyi wybili szyby w kasynie i zmusili uczestników zabawy do zaprzestania tanów i opuszczenia sali. Kilkunastu demonstrantów uwięziono zaraz na miejscu i trzymano do niedawna w areszcie śledczym i wypuszczono ich na wolność do-



Koniec wojny z Węgrami: Franciszek Kossuth, nowy minister handlu w gabinecie Wekerlego na Węgrzech.

piero wówczas, kiedy akt oskarżenia przeciw nim i innym obwinionym o współudział był wygotowany.

Do przeprowadzenia rozprawy został delegowany sąd lwowski. Dzięki dzielnej obronie adwokatów: dr Dwernickiego, dr Feuersteina i dr Lesera, oraz dzięki ojcowskiemu stanowisku, jakie wobec oskarżonych, przeważnie młodych robotników, zajął trybunał pod przewodnictwem radcy Wierzbickiego, wyrok zapadł bardzo łagodny, bo zasądzający tylko pięciu oskarżonych na karę od 8 dni aresztu do 5 tygodni więzienia.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Münz we Lwowie.

Bartnicy podlwowscy: Uczestnicy kursu pszczelarskiego w Zubrzy pod Lwowem; w pośrodku starosta radca Franz; dr. Bron. Dulęba z zarządu głównego Kółek rolniczych; inspektor szkolny Howorka i prof. dr. Ciesielski.

fotograficzne grupy oskarżonych z tego procesu. Jest ich tu tylko 27, jeden bowiem z powodu ciężkiej choroby nie był obecnym na rozprawie.



Koniec wojny z Węgrami: Nowy minister sprawiedliwości na Węgrzech, Geza Polonyi, który świeżo był pod śledztwem o zbrodnię obrazy Majestatu.

Koniec wojny z Węgrami.

Nareszcie, po półtorarocznej zaciętej walce między Koroną a Sejmem węgierskim, zdołano w ubiegłą sobotę zażegnać burzę, zbierającą się nad Węgrami: udało się zawrzeć nieprzejednanym dotychczas wrogom kompromis. Telegramy sobotnie przyniosły wiadomość, że król powierzył misyę utworzenia nowego gabinetu węgierskiego dr. Aleksandrowi Wekerlemu, który w skład gabinetu powołał najwybitniejszych przedstawicieli skoalidowanej opozycyi, a więc Kossutha, hr. Apponyiego, Andrassy'ego, Polonyi'ego i Zichy'ego.

Ze kompromis ten osiągnięto, to w znacznej mierze zasługa sędziwego monarchy, który chce mieć w państwie spokój na stare lata, ale także skutek umiarkowania opozycyi, która, nie będąc pewna, czy za nią stoi cały naród węgierski, wolała na razie zaniechać walki, a chwycić w ręce władzę i dopiero się do walki na ostre przygotować. Niewątpliwie tylko dzięki ustępstwu koalicyi kompromis między Koroną a opozycyą doszedł do skutku; ale nie trzeba sądzić, że koalicya, względnie partya niezawisłości, poniosła przytem klęskę. Koalicya nie uzyskała wprawdzie nic ze swych poprzednio bezwzględnie głoszonych postulatów, ale uzyskała władzę. Mając zaś władzę w ręku, stronnictwo niezawisłości ogromnie wzmocni swą pozycyę, obsadzi wszystkie urzędy swoimi ludźmi i ugruntuje sobie dominujący wpływ w kraju na długie jeszcze lata.

Skład nowego gabinetu węgierskiego, który wyszedł w całości z łona opozycyi, jest następujący: Dr Aleksander Wekerle prezydyum i finansy, hr. Juliusz Andrassy sprawy wewnętrzne, Franciszek Kossuth handel, hr. Albert Apponyi oświata, Geza Polonyi sprawiedliwość. Ministrem a latere został hr. Aladar Zichy, przywódca klerykalnego stronnictwa ludowego. Nowy gabinet został w niedzielę przez króla zaprzysiężony.

Aleksander Wekerle, nowy prezydent ministrów, liczy lat 58. Karyerę swoją rozpoczął jako urzędnik w ministerstwie skarbu. W gabinecie Tiszy i Szapary'ego piastował tekę ministra skarbu, a po upadku Szapary'ego stanął w roku 1882 mimo niechęci sfer wiedeńskich na czele rządu. Położył zasługi na polu uporządkowania finansów państwowych, przeprowadził w Izbie posłów ustawy kościelne, a gdy Izba magnatów w roku 1894 je odrzuciła, podał się do dymisyi. To wywołało w całym kraju oburzenie tak wielkie, że następca jego hr. Khuen nie mógł nikogo nakłonić do wstąpienia do swego gabinetu, tak, że cesarz musiał napowrót powołać Wekerlego, który też doprowadził ustawodawstwo liberalne do końca i ustąpił dopiero w roku 1904. Od tego czasu był prezydentem trybunału administracyjnego i brał gorliwy udział w życiu publicznem jako jeden z najwybitniejszych polityków.

Członkowie gabinetu (podajemy dziś ich portrety), to politycy, których imię znane jest dobrze każdemu, choć trochę polityką się zajmującemu. Kossuth, Andrassy i Apponyi, to najwybitniejsi przywódcy opozycyi; Geza Polonyi, to jeden z najtęższych prawników węgierskich, zaszczytnie znany na arenie politycznej.



Koniec wojny z Węgrami: Dr. Aleksander Wekerle, nowy prezydent gabinetu węgierskiego i minister skarbu.

Po komedyi Marokkańskiej.

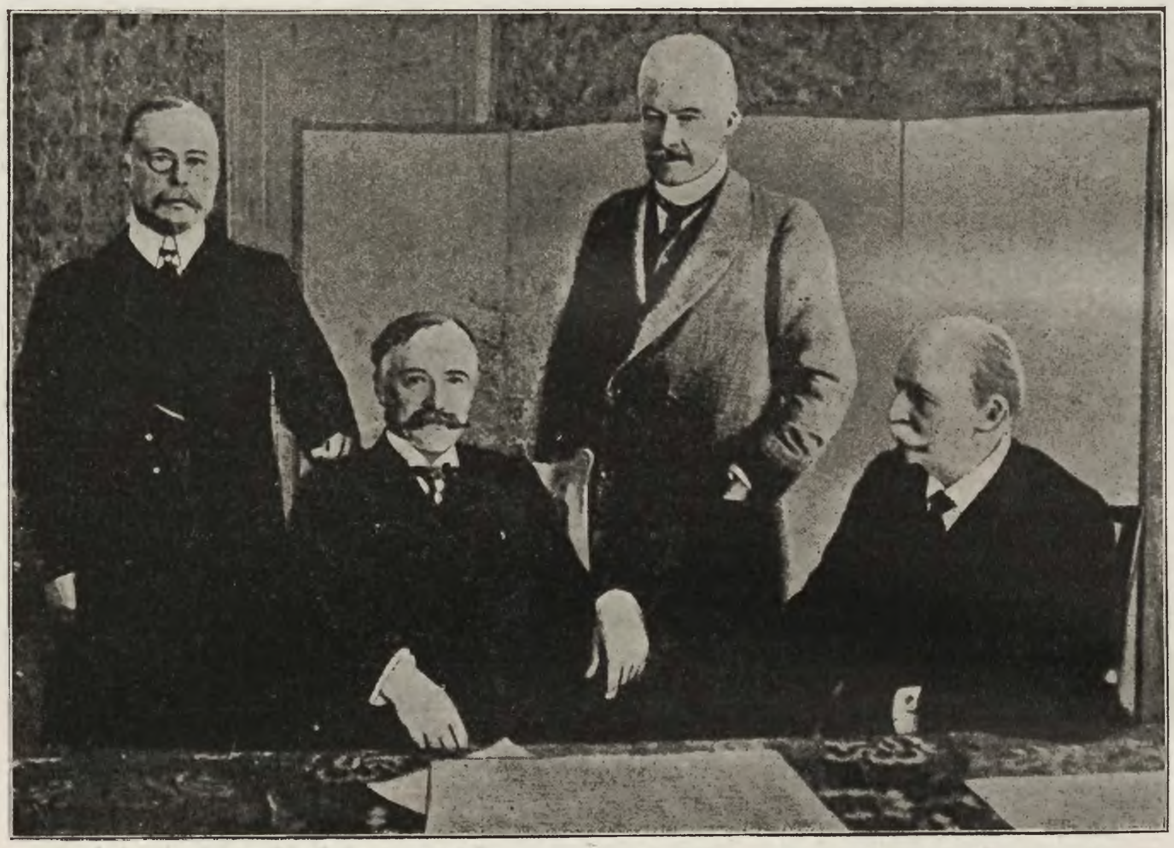
Konferencya w Algeciras doszła nareszcie do końca. Podpisano ostateczny protokół umowy, za-



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustr.“ N. Lissa, fot. nadworny we Lwowie.

Echa karnawału w Sanoku: Robotnicy z Sanoka, którzy przed sądem lwowskim stawali teraz jako podsądni za urządzenie pamiętnej demonstracyi przeciwko zabawie tanecznej w kasynie sanockiem.

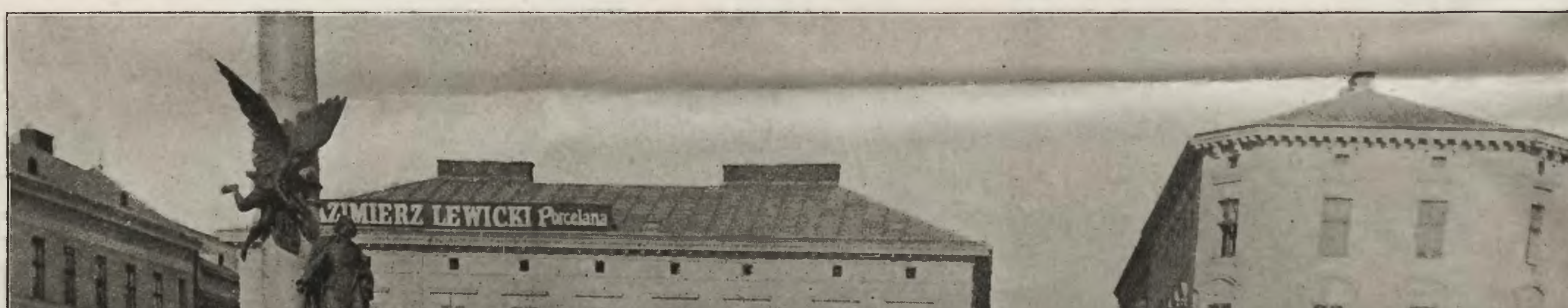
wartej między delegatami mocarstw w sprawie Marokka. Konferencya ta miała znaczenie większe, aniżeli to sądzono z początku. Przedewszystkiem odsłoniła sympatye i antypatye międzynarodowe, rozświetliła wzajemny stosunek mocarstw do siebie. Niemcy, których właściwy kanclerz, cesarz Wilhelm, tak przed konferencyą pobrzękiwał szabelką, a „cynowy“ kanclerz, chory dziś książe Bülow, takie napuszyste wygłaszał mowy, że widmo wojny nad nimi się unosiło, straciły swoją butę i rezon, przekonały się bowiem, że są w Europie zupełnie odosobnione, że sympatye mocarstw stoją raczej po stronie Francyi. Delegaci niemieccy na konferencyi. Radowitz i Tattenbach, pomimo lisiej chytrości nie zdołali przeciągnąć dyplomatów na swoją stronę, podczas gdy delegaci francuscy, Revoil i Regnault umieli tak zręcznie lawirować, że zdołali doprowadzić do zwycięstwa Francyi w sprawie Marokka, do uzyskania na Marokko dominującego wpływu, jaki im zapewnia ugoda, zawarta



Po komedyi marokkańskiej: Główni przedstawiciele dwóch najbardziej zainteresowanych na zakończonej właśnie konferencyi marokkańskiej w Algeciras mocarstw, delegaci Francyi i Niemiec, Revoil i Tattenbach (siedzą) wraz ze swymi sekretarzami (stojący).



Fot. N. Lissa, nadworny fot. we Lwowie.
Chluba polskiej nauki: Świeżo zmarły, były rektor i zasłużony profesor uniwersytetu lwowskiego śp. Roman Pilat, znakomity historyk literatury polskiej.



Zdjęcie umyślne dla „Nowości Illustr.“; fot. M. Münz we Lwowie.
Chluba polskiej nauki: Pogrzeb byłego rektora i profesora Uniwersytetu lwowskiego, śp. Romana Pilata: kondukt żałobny na placu Maryackim przed kolumną Mickiewicza, podczas przemówienia prof. Bruchnalskiego.

na konferencyi. — Dyplomacya niemiecka, której może nie tyle chodziło o Marokko, ile o zaciążenie swą łapą na samej Francyi, zrobiła fiasko. Niemcy nietylko nie uzyskali niczego po konferencyi, której się sami tak bardzo domagali, ale nawet stracili wiele.



Zgon nadprokuratora państwa: Śp. Henryk Hayderer, zmarły w tych dniach we Lwowie nadprokurator państwa.

Awantura dyplomatyczna.

Ambasador Stanów Zjednoczonych w Wiedniu, Mr. Bellamy Storer (którego fotografię z dzieckiem na ręku widzimy na stronie 3) został odwołany telegraficznie z zajmowanego dotąd ważnego stanowiska. Afera ta wywołała sytuacyę niezwykłą. Prezydent Roosevelt traktuje od 29 z. m. tego pana jako osobistość prywatną, której nie powierza żadnej już funkcyi politycznej, austryackie zaś ministerstwo dla spraw zagranicznych widzi w nim ambasadora Stanów Zjednoczonych do tej chwili, w której Storer nie złoży oficyalnie swego urzędu i nie zawiadomi o tem osobiście monarchy na uroczystej audyencyi pożegnalnej. Takiego traktowania sprawy wymaga tradycya i zwyczaj praktykowany w świecie dyplomatycznym. Popsuła jednak szyki utartego sposobu znana energia prezydenta Stanów i jego szybkość wykonywania postanowień. Odwołano Storera telegraficznie, uwiadamiając go o wyborze następcy i przerywając równocześnie wszelką komunikacyę urzędową pomiędzy Storerem a Waszyngtonem. Postawiło to austro-węg. urząd spraw zagranicznych w trudnem położeniu. Austro-Węgry muszą bowiem porozumiewać się z urzędem Stanów przez swego ambasadora w Waszyngtonie. Afera nieszczęśliwego ambasadora, który powrócił chory z Egiptu do Wiednia i pozostać tam musi z polecenia lekarzy aż do czerwca, narobiła niemało wrzawy w świecie dyplomatycznym.



Przebudził się groźny Wezuwiusz: Widok wulkanu Wezuwiusza w chwili, gdy wrząca lawa strumieniami zalewa tor kolei prowadzącej na szczyt krateru. (Do artykułu na str. 20).



„Harmonia“ krakowska: Grupa członków orkiestry, stanowiąca komplet teatralny; w pierwszym rzędzie w środku dr. Kazimierz Ostrowski, sekretarz „Harmonii“. (Umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ aparatem redakcyjnym fot. W. Lis).

Chluba polskiej nauki.

Nauka polska a z nią i całe nasze społeczeństwo poniosło znowu bardzo bolesną, niepowetowaną stratę. Oto zakończył życie wybitny uczony polski, b. profesor literatury i języka polskiego na uniwersytecie lwowskim, dr Roman Pilat. Urodzony w 1846 r. we Lwowie, tu ukończył śp. Roman Pilat szkoły średnie a następnie uniwersytet, gdzie kształcił się pod kierunkiem znakomitego uczonego prof. Małeckiego. Jako akademik brał żywy udział w życiu młodzieży i był pierwszym prezesem „Czytelni akademickiej“. Uzyskawszy stopień doktora filozofii, habilitował się na uniwersytecie lwowskim jako docent języka i literatury polskiej, a habilitacya jego była pierwszą, która odbyła się w języku polskim. W przeciągu lat ośmiu został Pilat zwyczajnym profesorem tych przedmiotów.



Żywcem w grobie: Górnik Nemy, który należał do 13 ocalonych po 20 dniach pobytu w podziemiach kopalni w Courrieres.

Działalność profesorska śp. Pilata była ogromnie owocną.

Największe jednak zasługi położył zmarły uczony jako wieloletni kierownik seminaryum, z którego wyszedł długi szereg bardzo zasłużonych dziś i ogólnie znanych historyków literatury polskiej. Nie można też pominąć prac naukowych śp. R. Pilata drukiem ogłoszonych, którym krytyka jednozgodnie niepospolitą przyznała wartość. Z działalności. nie wchodzącej w zakres jego obowiązków jako profesora, wspomnieć należy o długoletniem przewodnictwie w Tow. liter. im. A. Mickiewicza, którego „Pamiętnik“ sumiennie redagował.

Cześć jego pamięci!

Zgon nadprokuratora państwa.

Zupełnie niespodziewanie zaskoczyła mieszkańców Lwowa w ubiegłą sobotę wiadomość o zgonie starszego prokuratora państwa, śp. Henryka Hayderera, wywołując wśród licznego grona jego przyjaciół i znajomych, oraz wśród ogółu urzędników sądowych szczery i niekłamany żal.

Śp. Hayderer, (na str. 15. portret) urodzony w r. 1850 w Tarnowie, ukończył wydział prawniczy na uniwersytecie we Lwowie, poczem wstąpił do służby sądowej. Przechodząc kolejno stopnie i rangi, pracując we Lwowie, Przemyślu oraz we Wiedniu w Najwyższym Trybunale Sprawiedliwości, został z radcy sądowego we Lwowie mianowany w r. 1898 prokuratorem państwa. Podczas pamiętnego procesu o malwersacye w gal. Kasie oszczędności on wnosił oskarżenie. W r. 1904 został mianowany nadprokuratorem i na tem stanowisku,



Żywcem w grobie: Górnik Pruvost i jego syn, którzy należeli do 13 ocalonych po 20 dniach pobytu w podziemiach kopalni w Courrieres.



Żywcem w grobie: Górnik Lefebre, który należał do 13 ocalonych po 20 dniach pobytu w podziemiach Courrieres.

w sile wieku, z wielką szkodą dla społeczeństwa życia dokonał.

Śp. Hayderer, jakkolwiek z powodu rodzaju swego stanowiska nie należał do osób zbyt popularnych, był jednak człowiekiem niezwykle czystego charakteru. Uczuciami swemi patryotycznemi nie lubił się popisywać, czuł jednak szczerze po polsku, jego też wyłączną zasługą, iż w okręgu prokuratoryi lwowskiej — wbrew przepisom — urzęduje się w znacznej części po polsku.

„Harmonia“ krakowska.

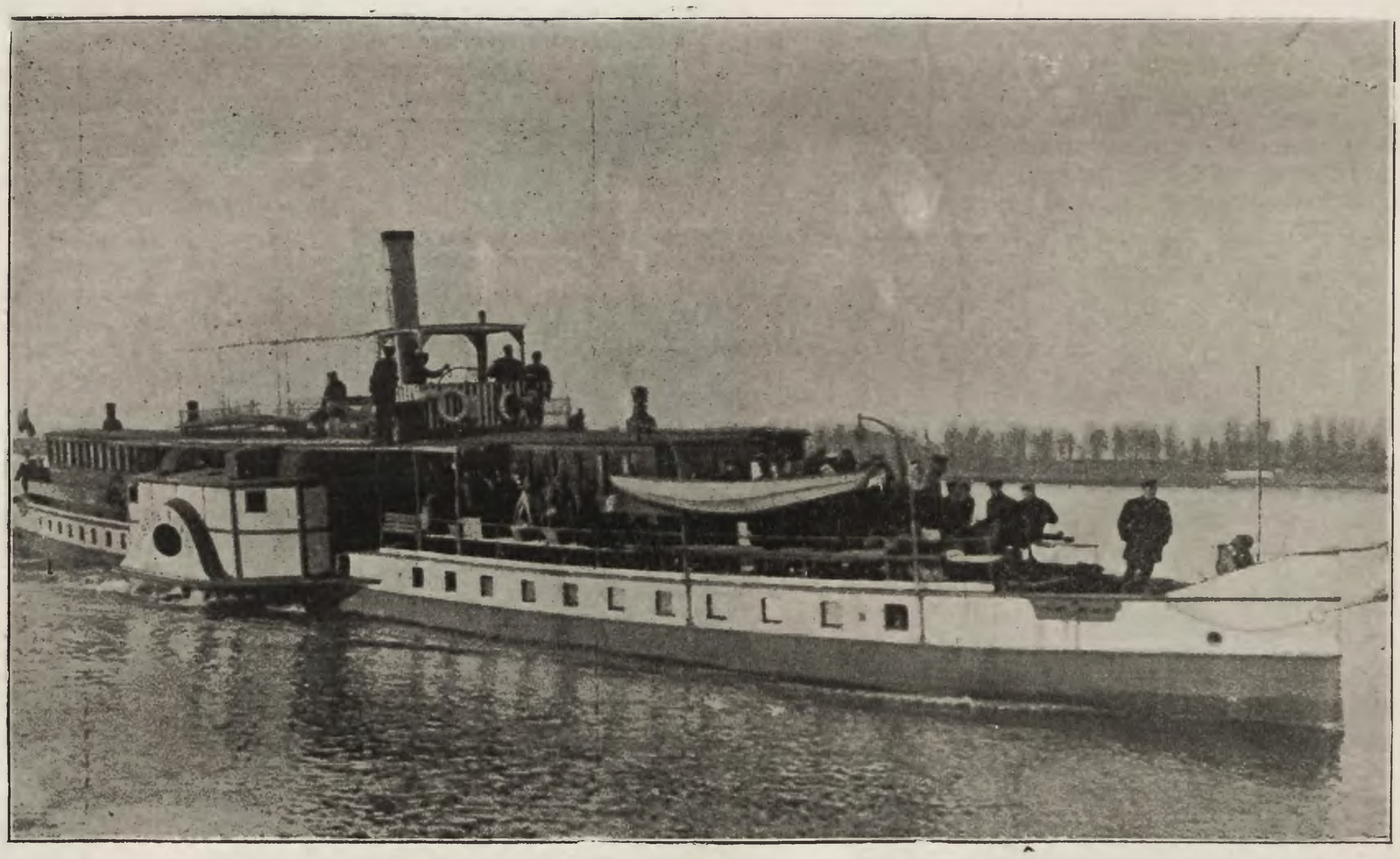
Przez dłuższy czas Kraków nie miał z wyjątkiem orkiestr wojskowych ani jednej prawdziwie artystycznie zgranej orkiestry. Dopiero kiedy przed rokiem na czele „Harmonii“ stanął dyrektor p. Jan Górski, którego portret znajdą Czytelnicy w stałej naszej rubryce muzycznej na stronie 19, „Harmonia“ weszła na nowe tory i zaczęła coraz bardziej zdobywać sobie uznanie nietylko przeciętnej publiczności, ale i znawców muzyków. Stało się to właśnie dzięki energicznej pracy p. Górskiego, o którym pisze nasz recenzent muzyczny.

W ciągu roku wystąpiła „Harmonia“ z czterema koncertami symfonicznemi, o programie niebywałym w dawnej „Harmonii“. Koncerty te były najlepszym dowodem, że orkiestra ta osiągła już wysoki artystyczny poziom, ba, okazało się, że można się nią poszczycić. Pierwsze koncerty pod wpływem ujemnych tradycyj po dawnej Harmonii, nie zgromadziły jeszcze zbyt licznej publiczności w sali koncertowej, ale zato koncerty ostatnie były „wysprzedane“, jak się to mówi, a sukces ich artystyczny był niebywały, a nawet, jak na stosunki krakowskie, niezwykły. Zasługa to w pierwszym rzędzie dyrektora Górskiego, jakoteż całego wydziału „Harmonii“, w skład którego wchodzą: pan Stanisław Żeleński jako prezes, ks. kan. Juliusz Drohojowski jako wiceprezes, dr. Kazimierz Ostrowski jako sekretarz i p. Karliński jako skarbnik. Zasługa to również kapelistów, którzy dokładają wszelkich sił, aby „Harmonii“ zapewnić dobrą sławę.



Żywcem w grobie: Odnalezienie 13 żywych górników wewnątrz kopalni węgla w Courrieres, którzy od czasu strasznej katastrofy spędzili 20 dni w podziemiach; widok sali szpitalnej, gdzie leczą się wszyscy ocaleni.

Od września 1905 roku, to znaczy od czasu objęcia dyrekcyi teatru miejskiego przez p. Solskiego, zaangażowaną została „Harmonia“ do teatru, gdzie przygrywa w antraktach, lub też illustruje muzyką sztukę, o ile tego zachodzi potrzeba. Na załączonej dziś illustracyi widzimy grupę członków „Harmonii“, stanowiących komplet orkiestry teatralnej. W środku w pierwszym rzędzie, znajduje się p. dr. Kazimierz Ostrowski, sekretarz „Harmonii“. Zamieszczając tę fotografię, chcieliśmy złożyć publiczne uznanie naszej doborowej orkiestrze, zwrócić na nią uwagę obywateli i skłonić ich do zajęcia się i popierania tej tak potrzebnej i tak użytecznej orkiestry przez wpisywanie się jak najliczniejsze do grona członków „Harmonii“, co pociąga zaledwie 33-halerzowy wydatek miesięczny od osoby.



Rozstrzelanie na „Wawelu“: W powrocie z Płocka przybijający do przystani warszawskiej, statek „Wawel“, na którym w podróży członkowie „Białej pętelki“ wystrzelali bandę zawodowych szulerów i trupy w Wisłę wrzucili. (Fot. dla „Nowości Ill.“ Raczyński).

Żywcem w grobie.

Zdawało się, że czytamy bajkę, jednę „z Tysiąca i jednej nocy“, kiedy w dziennikach pojawiła się wiadomość, że z głębin kopalni w Courrières wydobyto w dwadzieścia dni po katastrofie trzynastu górników wycieńczonych, lecz jeszcze przy życiu. Ocaleni przebywali zamknięci w podziemiach kopalni przez dwadzieścia dni, a wynalezieni zostali jeno przypadkiem. Robotnicy, zajęci gaszeniem pożaru, mieli właśnie zamiar opuścić kopalnię, kiedy nagle ujrzeli zbliżające się ku nim powoli, jakby upiory z tamtego świata, postacie. Gdyby ci żywcem pogrzebani byli kilka minut później dowlekli się na to miejsce, byliby już niezastali robotników i musieliby umrzeć, bo byli już tak wycieńczeni, że ledwo się na nogach trzymali. Górnik Nemy, który był przywódcą uratowanych, a którego portret zamieszczamy dzisiaj, wydobyty na powierzchnię ziemi, ujrzawszy światło dzienne, począł się przeraźliwie śmiać, tak, że dreszcz przeniknął obecnych. On jednak pierwszy odzyskał przytomność i pierwszy opowiedział szczegóły swoich przygód.

W chwili wybuchu w kopalni Nemy począł na oślep uciekać, natrafiając co krok na stosy trupów. Dobiegłszy do końca sztolni, napotkał dwunastu towarzyszy, którzy tam znaleźli schronienie. Biedacy myśleli, że Nemy należy do oddziału ratunkowego i że im przynosi ocalenie, to też dowiedziawszy się, że i on należy do zasypanych w kopalni, wpadli w nieopisaną rozpacz. Nemy dodał im otuchy i przez 8 dni pozostali wszyscy w tej sztolni. Jedli ziemię, korę z drzewa, podtrzymującego sklepienie kopalni, słowem wszystko, co tylko znaleźli. W ciemnościach nie mogli znaleźć drogi i błąkali się na oślep po kopalni. Dotarli wreszcie do pewnej stajni, gdzie znaleźli owies i tym owsem żywili się przez dwa dni. Następnie jedli mięso z zabitych przez wybuch koni, znajdujących się już w stanie gnicia, nareszcie, kiedy już stracili wszelką nadzieję, niespodziewanie znaleźli ratunek. Obok Nemy'ego głównym bohaterem w tej trzynastce cudownie ocalonych był Pruvost i jego syn, oraz Lefebre, których fotografie również obok podajemy.

Nemy i Pruvost, którzy przez tak długi czas zdołali w nieszczęśliwych towarzyszach podtrzymać ducha i iskrę nadziei, choć jej może sami nie mieli i przez to przyczynili się do ich ocalenia, otrzymali od ministra robót publicznych Barthoux krzyże legii honorowej.



Rozstrzelanie na „Wawelu“: W przystani warszawskiej, czekający na powrót statku „Wawel“ dziennikarze wypytują komisarza policyi o szczegóły niezwykłego wypadku.
Fot. dla „Nowości Illustr.“ Raczyński w Warszawie.

Rozstrzelanie na „Wawelu“.

Najbujniejsza wyobraźnia nie potrafi sobie stworzyć straszliwie rozpaczliwej sceny, jaka się nagle i niespodzianie rozegrała na pokładzie statku „Wawel“ na Wiśle w drodze z Warszawy do Włocławka.

Już dobrze za mostem kolejowym, a bliżej ku Jabłonnej, kiedy wszyscy podróżni przebywali na pokładzie, rozkoszując się jasną, promienną, pogo-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Raczyński w Warszawie.
Rozstrzelanie na „Wawelu“: Rewizya na statku „Wawel“ w przystani warszawskiej, po powrocie z tragicznej podróży.



Śmierć teścia i synowej: Widok zamku książęcego w Nachod w Czechach, gdzie przed tygodniem zmarł książę Schaumburg-Lippe, a w kilka godzin po nim jego synowa Luiza, córka króla duńskiego, chora od pewnego czasu na meningitis.

dą wiosenną, wszczął się nagle jakiś podejrzany ruch.

Kilkunastu młodych ludzi, każdy lat 20—25 liczący, zaczęło spychać podróżnych nieznacznie do kajut. Nie zauważyła tego grupa 6-u szulerów zawodowych, zawzięcie oddana na tylnym pokładzie oszukańczej grze hazardowej.

Do niej to zbliżył się jeden z owych kilkunastu, stanowiących zwarte grono pod nazwą „Biała pętelka“.



Naczelnik policyi śledczej w Warszawie, Wiktor Grün, przeciw któremu wdrożono w Petersburgu śledztwo, dla zbadania prawdziwości doniesień prasy europejskiej o torturach itp. w więzieniach warszawskich. (Do artykułu na stronie 20).

W tej też chwili dobył z kieszeni rewolweru i wypalił w gniazdo szulerów 4 razy. Ci w popłochu zostawiwszy karty, rzucili się do ucieczki, a gdy zobaczyli wszystkie wyjścia obstawione przez zbrojnych w rewolwery, zaczęli szukać schronienia po całym pokładzie, wśród istnego gradu kul, który się na nich posypał ze wszystkich stron. Równocześnie jeden z insurgentów z rewolwerem w ręku kazał sternikowi i maszyniście zatrzymać statek, po którego pokładzie zaczęło się teraz nieubłagane polowanie na szulerów.

Padło już blisko 200 strzałów, padło już trupem trzech szulerów, ścigano zażarcie trzech jeszcze, jeden z tychże skrył się do dolnego oddziału maszynowego, lecz i stamtąd go wydobyto i przeszyto kilkunastu kulami.

Cztery trupy wrzucono do Wisły, poczem kazano statkowi ruszyć i przybić do przystani w Nowym Dworze, gdzie wyniesiono na ląd dwu jeszcze ciężko z rannych. Jeden z nich w drodze umarł, drugi dogorywa w beznadziejnym stanie. Insurgenci, wysiadłszy z rewolwerami w ręku, kazali kapitanowi ruszyć w dalszą drogę.

Zapowiedziany w sobotę o 5 popołudniu powrót „Wawelu“ do Warszawy zgromadził w przystani żeglużnej p. Fajansa tłumy publiczności i kilka aparatów fotograficznych, między temi i specyalny zakładu fot. p. Raczyńskiego dla „Nowości Illustrowanych“. *B-t.*

Proces czterech redaktorów.

Pamiętne dni chwilowych swobód konstytucyjnych w Warszawie w listopadzie z. r. doprowadziły kilkakrotnie do krwawych wypadków w następstwie natychmiastowej represyi władz rządowych. Wtedy to w prasie polskiej i zagranicznej często pojawiało się nazwisko komisarza policyi warszawskiej Ignacego Konstantinowa (oto jego podobizna), któremu czyniono bardzo poważne zarzuty. Uważając się pokrzywdzonym insynuacyami prasy, wytoczył komisarz skargę sądową o potwarz przeciw czterem redaktorom pism warszawskich: Feliksowi Fryzemu („Kuryer Poranny“), Janowi Brzezińskiemu („Kuryer Warszawski“), Bolesławowi Koskowskiemu („Goniec“) i Władysławowi Okrętowi („Nowiny“) — żądając ich ukarania.

Przed tygodniem odbyła się w Warszawie rozprawa sądowa publiczna w I-szym wydziale karnym sądu okręgowego, do której zawezwano mnóstwo świadków. Sąd jednak uchwalił odroczyć rozprawę i zwrócił sprawę „z uwagi na doniosłość oskarżenia“ sędziemu śledczemu dla wdrożenia śledztwa pierwiastkowego.

Śmierć teścia i synowej.

Niezwykły wypadek zdarzył się w Czechach na zamku w Nachod (którego widok przedstawia załączona na str. 17. rycina).

Przed tygodniem zmarł tam nad ranem książę Schaumburg-Lippe, a w kilka godzin po nim zakończyła życie jego synowa Luiza.

Zmarły książę Wilhelm Karol Schaumburg-Lippe był wujem panującego obecnie księcia tego nazwiska, a liczył już przeszło 72 lata. Należał do Izby panów jako dożywotni członek. Córka jego Karolina wyszła przed 20 laty za mąż za obecnego króla Würtembergii.

Prawie równocześnie z nim zmarła, synowa księcia, była córką króla duńskiego. Znano ją pod imieniem księżnej Luizy Schaumburg-Lippe.



Proces czterech redaktorów: Komisarz policyi warszawskiej, Ignacy Konstantinow, który oskarżył 4 redaktorów pism codziennych o potwarz z powodu rozgłośnych zarzutów, stawianych mu przez prasę.

Jest to ta sama królewna duńska, do której niedawno z Krakowa do zamku w Nachod wzywano prof. dra Odona Bujwida dla zbadania krwi chorej księżnej. Czytelnicy przypominają sobie, żeśmy z tej okazyi wówczas (przed kilku tygodniami) podali jej portret w otoczeniu dzieci. Podobno umarła ona na zapalenie opon mózgowordzeniowych (meningitis).

Plotki lwowskie.

(Mój strejk i jego zażegnanie. — Powszechna wesołość. — Ogrodzenie Mickiewicza. — Mamki lwowskie u prezydenta. — Wesołych świąt).

Strejkowałem przez jakiś czas, ale dzięki interwencyi niektórych wpływowych mężów, którzy w żaden sposób bez tej uczty duchowej, jaką są moje „Plotki lwowskie“, obejść się nie mogą, przyszło po kilku konferencyach do zgody obopólnej między mną a moimi chlebodawcami, t. j. redakcyą „Nowości illustrowanych“, na następujących trzech warunkach:

1) Redakcya „Nowości“ płaci swemu korespondentowi lwowskiemu nawet za te artykuły, których nie pisał, ale pisać zamierzał.

2) Korespondent lwowski ma prawo pobierać zaliczkę do wysokości dwumiesięcznej gaży, której mu redakcya potrącać nie może bez jego wyraźnej zgody.

3) Wszelkie spory między redakcyą „Nowości“ a jej lwowskim korespondentem mają rozstrzygać większością głosów najpiękniejsze Czytelniczki „Nowości“, które wskaże niżej podpisany.

Dzięki temu strejkowi mogłem pominąć przykrą sprawę zakładu naukowego pani Strzałkowskiej, do czego zresztą byłbym zobowiązany już z tytułu samego, tytułu moich fejletonów. Tak samo nie musiałem już pożegnać się z panem Wiktorem Grąbczewskim, czem zaoszczędziłem sobie i wam, drodzy Czytelnicy, kilkanaście gorzkich łez.

Dziś, skoro ten czas krytyczny minął, panuje we Lwowie powszechna wesołość, prześliczna wiosna wywabiła na ulicę najpiękniejsze Lwowianki w bajecznie pięknych i nowych strojach, magistrat kropi ulice, mianowicie w takiej obfitości, że wyrabia się sztuczne błoto, jak wiadomo, bardzo pożądane, a pachołkowie miejscy zmiatają kurz z ulic w tych godzinach, kiedy panuje największy ruch, ażeby ludzie nie mówili, że magistrat nic nie robi.

Jeszcze weselszą jest nowina, że pomnik Mickiewicza, którego na szczęście nikt dotąd nie ukradł, otrzyma piękne ogrodzenie, na co już czeka od szeregu miesięcy, a otrzyma wtedy, gdy nareszcie odnośne władze zgodzą się na jeden z projektów. Gdy bowiem Mickiewicz zaczął się niecierpliwić i w dziennikach upominać się o ogrodzenie oddzielające go od fijakrów, ekspresów i polityków, zgodzono się w magistracie na jeden z projektów, który odesłano do jakiejś sekcyi, a stąd do innej sekcyi. Z tej drugiej sekcyi wrócił projekt do magistratu z żądaniem przedłożenia innego projektu. Wybrał tedy magistrat inny projekt i odesłał go do sekcyi, a ta sekcya odesłała go do innej sekcyi. Stąd wrócił drugi projekt do pierwszej sekcyi, ażeby poleciła magistratowi przedłożenie kombinacyi pierwszego projektu z drugim projektem drugiej sekcyi, ale że magistrat przez pomyłkę przedłożył tę kombinacyę pierwszej sekcyi, więc druga sekcya poleciła krótko pierwszej sekcyi, aby wezwała magistrat do przedłożenia trzeciego projektu drugiej sekcyi, co pierwsza sekcya w ten sposób wykonała, że poleciła mu przedłożyć sobie, t. j. pierwszej sekcyi, a magistrat przedłożył, ale nie wiem, czy pierwszej sekcyi, czy drugiej sekcyi, czy pierwszy projekt, czy drugi projekt, czy kombinacyę tych dwu projektów, czy trzeci projekt, zażądany przez sekcyę trzecią dla sekcyi drugiej.

Dość, że projekt gdzieś utknął, ale w każdym razie tkwi w ratuszu, a że Mickiewicz jeszcze ciągle stoi na placu Maryackim, więc na razie ani on do ogrodzenia, ani ogrodzenie do niego przedostać się nie może.

W tym tygodniu zrobiono krok czy dwa kroki naprzód i jest nadzieja, że na zimę ogrodzimy Adama, jak się należy.

Z innych faktów mam do zanotowania zamach radnego Schleyena na mamki lwowskie, mający na celu usunięcie tych najpotrzebniejszych istot z Wałów Hetmańskich, gdzie panu Schleyenowi przeszkadzają w spacerze. Deputacya mamek wraz z żołnierzami udała się do p. prezydenta Michalskiego z przedstawieniem, że tak być nie może i nie powinno. Pędzono nas — mówiła deputacya — z Wałów gubernatorskich, gdzie rzekomo przeszkadzałyśmy panu namiestnikowi na Wały Hetmańskie. Tu zawadzamy panu rajcy Schleyenowi i chcą nas pędzić jeszcze dalej — zapowiadamy strejk, bierny opór, spacer demonstracyjny, a w danym razie nawet taką małą rewolucyę, jeśli p. prezydent nie ujmie się za mamkami, pomny, że przecież także kiedyś...

Prezydent nie dał dokończyć zdania. W krótkiem, pełnem patryotycznego polotu przemówieniu odpowiedział, że zdaje sobie sprawę z całego stanu rzeczy, że jako prezydent miasta ma w swojej opiece nietylko obywateli miasta, ale i te istoty, które tych obywateli wykarmiły na dzielnych synów ojczyzny, kładąc niejako fundament pod ich całą przyszłość. Następnie wypytywał się p. prezydent o stosunki panujące między mamkami, o ich położenie, o apetyt ich abonentów i inne sprawy zawodowe.

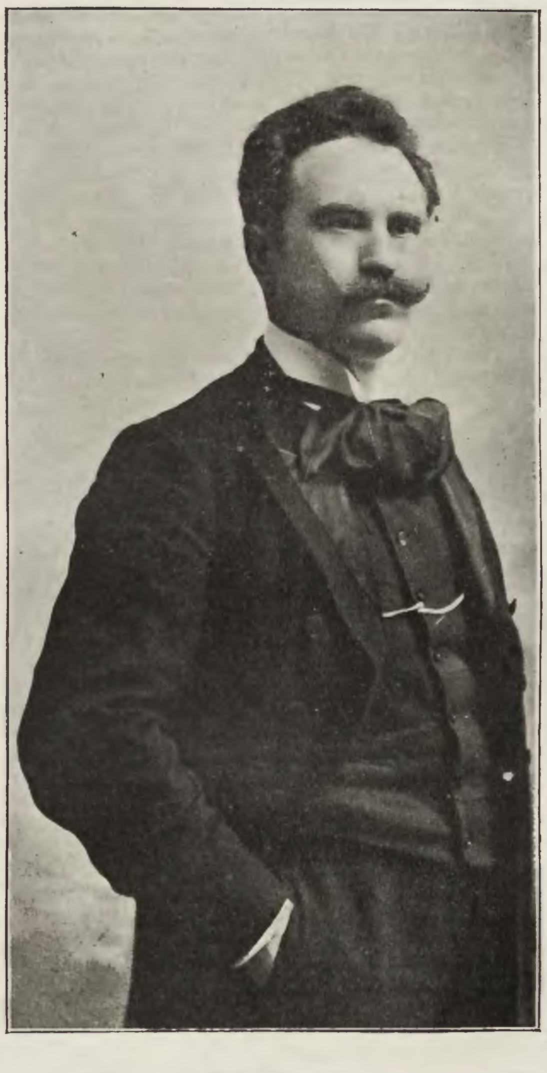
W dobrem usposobieniu opuściły mamki biura prezydyalne i jest nadzieja, że głos p. Schleyena będzie głosem wołającego na puszczy.

Ale i ja jestem w dobrem usposobieniu świątecznem i dlatego pozwalam sobie wszystkim pięknym Czytelniczkom (a któraż niepiękna?) złożyć na tej drodze szczere życzenia dobrego apetytu. Czytelnikom rodzaju wąsatego byłoby może zbytecznem życzyć apetytu, a raczej stosowniejszem będzie ojcowskie upomnienie i zachęta do wstrzemięźliwości. Gdyby zaś rady mojej nie usłuchali, życzę im bodaj rychłego powrotu do przytomności i radykalnego wyleczenia się ze skutków przeładowania żołądka. To nasza zwykła przypadłość poświąteczna, więc sądzę, że to życzenie jest bardzo na czasie.

Wszystkim zaś razem życzę na ogół wesołych świąt, wesołego Alleluja... *Kl.*

Jan Górski.

Ze wszystkich muzycznych specyalności posiadamy w Polsce najmniej kapelmistrzów tak, że niewiem, czy potrzebaby palców aż obu rąk, by ich policzyć. Jednym z poważniejszych pracowników na tem polu jest p. Jan Górski, obecnie dyrektor krakowskiej „Harmonii“ — instytucyi, której w ciągu niedługiego swego u nas pobytu potrafił nadać nowy świetny kierunek, stwarzając to, czego tak bardzo brakło Krakowowi... orkiestrę mogącą już sprostać pewnym zadaniom, jakie stawiają dzisiejsze wymagania artystyczne orkiestrom symfonicznym. P. Górski umiał sobie poradzić ze szczupłem gronem muzyków, które powierzono jego kierownictwu. Sam wysoce uzdolniony muzyk i wirtuoz-wioloncellista, dał się poznać szybko dzięki talentowi, z jak najlepszej strony, najpierw melomanom krakowskim. a potem wezwał liczną ich rzeszę do artystycznej pracy. Ożywieni zapałem dla sztuki, stanęli do apelu co najlepsi. Z małej Harmonijki zrobiła się duża „Harmonia“, która dziś przełamawszy małomiasteczkowy sceptycyzm i krytykomanię w odniesieniu się do wszelkiej artystycznej pracy własnych ziomków, a także i obojętność na poparcia godne usiłowania, wyrobiła sobie poważne stanowisko w krakowskim świecie muzycznym. Pan Jan Górski (ur. w sierpniu 1865 w Wilnie) pochodzi z rodziny, w której uprawiano muzykę z zamiłowaniem. To też kiedy oddano go do szkół średnich w Rydze, zapisano go do miejscowej szkoły muzycznej, gdzie uczył się gry wiolonczellowej u znakomitych mistrzów Arwina Portena, a następnie u Martiniego. Harmonię studyował u prof. Giżyckiego. Kiedy po ukończeniu szkół średnich zapisał się na politechnikę, wiolonczella i papier nutowy zajmowały go żywiej niż wykłady inżynierskie, to też jako dwudziestotrzyletni młodzieniec wstępuje do konserwatoryum petersburskiego, którem wówczas kierował wielki mistrz Antoni Rubinstein, — i kształci się dalej na ulubionym swym instrumencie, słuchając równocześnie wykładów kompozycyi u Liadowa. W r. 1893 przenosi się do Lipska i studyuje tu pod kierunkiem Schreinera kompozycyę i sztukę dyrygowania. W owym czasie poszukiwała Akademia muzyczna w Erfurcie profesora gry wiolonczellowej. Górski stanął do konkursu o tę posadę i przy próbnem graniu, odbytem wobec grona znawców, zwyciężywszy współzawodników, posadę profesora tej akademii otrzymał. W czasie sprawowania pracy pedagogicznej koncertował wiele i często po Saksonii i Niemczech, najczęściej z prof. Boehmem, panią Schwat itp. Zwiedził więc Weimar, Berlin, Lipsk, Monachium, Frankfurt itd. Pracę przerwało wezwanie ze strony rządu pod sztandary. Górski, złożywszy podatek krwi, pozostał już w cesarstwie, obejmując posadę dyrektora szkoły muzycznej w Kursku, a następnie w Rostowie nad Donem. Po kilkuletniej pracy, zatęskniwszy za stronami rodzinnemi, przyjmuje stanowisko dyrektora orkiestry symfonicznej w Wilnie. Niedostatecznie zapewniony byt nowej orkiestry, nie mógł przyczynić się do jej rozkwitu, a Górski widział się zmuszonym przyjąć obowiązki dyrygenta koncertów popularnych w warszawskiej Filharmonii, które po trzech miesiącach porzucił dla stanowiska dyrektora Tow. muzycznego w Łodzi, ofiarowane mu przez ówczesnego prezesa Grohmanna. Z Łodzi przybył do nas p. Górski przed rokiem.



Jan Górski.

Jeżeli pomiędzy te dzieje wplecie się szereg cały popisów artystycznych, wirtuozowskich, kapelmistrzowskich, otrzymamy obraz pełny ruchliwego i wydatnego życia artystycznego. Życzyć tylko należy Harmonii, by zdołała takiego doświadczonego i tęgiego artystę zatrzymać na swem czele jak najdłużej.

— *urs.* —

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

2 (Ciąg dalszy).

Był to człowiek jeszcze prawie młody, przystojny, o twarzy pogodnej, acz poważnej i jakgdyby stale zamyślonej. Miał na sobie — wracając z niedzielnej wizyty — czarny surdut długi, krojem do czamary zbliżony. Od dobrze widocznego na szyi kołnierza białego odbijał zupełny brak mankiet, co niejednego razić mogło w stroju uroczystym. Szary prochownik z ramion zerwawszy, podał po drodze lokajowi, który wyszedł naprzeciw pana, zawiadomić go o szczegółach zagadkowej na wstępie wizyty.

Wtedy dziedzic rozporządził, żeby natychmiast bryczkę odprowadzono do wozowni i zajęto się furmanem, sam zaś pośpieszył zobaczyć gościa.

W sali stołowej na dole zastał nieznajomą, rozmawiającą z klucznicą, która się zaraz do niego z wyrzutem w głosie zwróciła, w sposób prawie poufały, jak przystało na dawną jego piastunkę.

— Jak to pan Edward mógł tak narażać tę panienkę na daremne fatygowanie się tyle mil drogi... Trzeba przecież było zawiadomić, że już pani nie potrzeba... Gdzież tak można!

— O co idzie, Tekluniu, nic nie rozumiem — odparł z uśmiechem, poczem zwracając się do gościa: — Niechaj będzie pochwalony...

Niedobrane małżeństwo.

Za chwilę siedział dziedzic w fotelu pod oknem, odczytując pilnie list jednego z szanownych Ojców Kapucynów ze Starego Miasta nad Pilicą, który mu polecał Siostrę Felicyę, jako osobę ze wszech miar godną objęcia stanowiska. Pan K... bowiem zwracał się przed niedawnym czasem, idąc za wskazówkami przyjaciela swego a proboszcza z sąsiedztwa, do różnych księży poważnych w Królestwie z prośbą, by mu przysłano jakąś starszą kobietę, wypróbowanej moralności, a wysoce religijną, którejby można bez wahania i z zupełnem zaufaniem powierzyć „zajęcie się dwojgiem dzieci bez matki“. Szło tutaj o własnych jego synów, których kochał bardzo, a których (sam dość na to czasu ni cierpliwości nie mając) nie chciał pozwolić rodzonej matce wychowywać.

Coraz bardziej zatapiając się w mistycyzm religijny, uznał pan Edward w parę lat po ślubie, że jego żona jest dla niego niewiastą zbyt świecką i jakkolwiek kochać jej nie przestał, czuł względem niej pewnego rodzaju żal, tajony zrazu dyskretnie, później wszakże objawiany coraz częściej. Chcąc uniknąć domowego piekła kłótni małżeńskich, zrzekł się wreszcie misyi nawrócenia kobiety, do pustoty skłonnej, jakkolwiek z gruntu dobrej i uczciwej żony i matki, mimo, że nieco zalotnej strojnisi, pragnącej używać wesoło życia ziemskiego, a gotowej Bogu poświęcać chętnie godzinę modlitwy w czasie mszy niedzielnej w kościele. Natomiast poprzysiągł sobie ocalić przynajmniej zagrożone dusze dzieci.

Oczyma fanatyka zrozpaczony ojciec, mimo chłopięcego jeszcze ich wieku, już upatrywał smutną tragedyę życia obu synów-lekkoduchów. Gdy tylko, podrastając, myśleć zaczynali, przeraził się spostrzeżeniem, iż i oni idą za matką pod każdym względem, a przeciwko ojcu, z którego bigoteryi naigrawają się po cichu poza plecyma, za przykładem jego żony. Coraz to gorzej lękał się jej wpływu na chłopięce ich dusze, lecz daremnie usiłował przeciwdziałać temu...

Nakoniec zdecydował się oderwać dzieci od boku matki, jedyne w tem widząc lekarstwo. Przez pewien czas, pod jednym dachem z nią żyjąc, nie widywali chłopcy matki wcale. Wkrótce jednak zaczął ojciec podejrzewać, nie widząc od razu skutecznej odmiany, że rygor ten bywa zachowywany widocznie tylko pod jego w domu obecność. Ponieważ zaś często musiał bywać poza domem, spróbował postąpić inaczej. Osadził mianowicie żonę niejako na pokucie, na jednym z dalszych swoich folwarków, zostawiając tam młodą kobietę w zupełnem osamotnieniu. Chłopców zaś zatrzymawszy przy sobie we dworze, zaczął szukać dla nich odpowiedniej wychowawczyni (młodym guwernerom nie dowierzając, a większe do kobiet religijnie usposobionych mając zaufanie), któraby wpoiła zawczasu w pustych chłopaków tyle pobożności, ileby on sam wlać w ich serca pragnął szczerze.

Zanim dostał odpowiedzi na rozpisane w tym celu listy, już rzeczy zmieniły się znacznie.... Dzieci tak za matką tęskniły, że zachodziła obawa o ich zdrowie, tembardziej, że ojciec przy najlepszych chęciach prawie nigdy czasu nie miał sam się niemi zajmować, a nikomu nie ufał. Jednocześnie zaś sprawdził, że zachowanie się żony „na wygnaniu“ było zupełnie nienaganne. Uznał przeto, że odbyła ona już pierwszy, a najcięższy stopień wyznaczonej przez niego pokuty. Na prośby tedy starej klucznicy, litującej się nad dziećmi, zgodził się wreszcie posłać żonie chłopców na folwark, pod warunkiem, że będzie z nimi co dzień przyjeżdżała na ranną mszę do najbliższego kościoła parafialnego, a raz na tydzień będzie odbywała konferencyę z proboszczem i tegoż wskazówki ściśle wypełniała w sprawie wychowania synów. Nowe to stadyum rozterki małżeńskiej miało być, według wyrażenia pana K...., drugim stopniem pokuty, żonie zadanej, ale zarazem ciężką i ważną próbą: od tego bowiem, jak będzie teraz postępowała, ma zależeć powrót jej wraz z dziećmi pod dach mężowski. Z ust księdza usłyszała wyraźnie, że jeżeli tylko on będzie ze swej penitentki zadowolony, to nie omieszka jak najrychlej wstawić się za nią do dziedzica, by wolno jej było przenieść się nareszcie z folwarku do dworu.

Klucznica Teklunia właśnie spodziewała się już za jakie dwa tygodnie powrotu swej pani z chłopakami, gdy wtem oświadcza jej przybyła z Płocka tercyarka, że została wezwana do zajęcia się dziećmi dziedzica. Nieporozumienie wyjaśniło się wkrótce. Okazało się bowiem, że siostra Felicya, zamiast listy pisać, jak jej radził O. Kapucyn — zdecydowała się od razu zjechać na miejsce. Gdy się tutaj dowiedziała, jak rzeczy w danej chwili stoją, starała się utwierdzić dziedzica w przeświadczeniu, że niebezpieczeństwo, grożące duszom jego synów, jest bądź co bądź wielkie. Przestrzegała, stając w charakterze osoby duchownej, iż działać należy — póki pora. Każdy tydzień zwłoki może wydać jak najgorsze owoce... A perswazye jej tak zaczęły przekonywać zaniepokojonego ojca, iż stara Teklunia dostrzegła w jego oczach pewne wahanie się, czyli nie należałoby z powrotem odebrać chłopców matce, a korzystając z okazyi, nie oddać ich pod wyłączną opiekę siostry Felicyi, tak mu gorąco poleconej przez O. Kapucyna. Na bok tedy zabrała klucznica pana Edwarda i użyła wszelkich sposobów, by na nim wymódz przyrzeczenie, iż tercyarki w domu nie zatrzyma, a tylko dla wynagrodzenia jej niepotrzebnej fatygi, wręczy jakąś znaczną sumę pieniężną do dowolnego rozporządzenia na cele religijne.

Tak Bóg chce.

Nazajutrz wczesnym rankiem zeszedłszy z gościnnych pokojów do sali stołowej, siostra Felicya wypoczęta po trudach uciążliwej podróży, zasiadła do śniadania w towarzystwie gospodarza i klucznicy. Korzystając z pierwszej okazyi, gdy staruszka przywołana przez kogoś ze służby, podreptała z kluczami do spiżarni, zwróciła się tercyarka do dziedzica:

— Poproszę brata (pierwszy raz użyła tego wyrazu, tytułując go dotychczas panem) — o chwilę dłuższej rozmowy bez świadków i w miejscu, gdzie moglibyśmy być pewni, iż nikt nie słyszy słów naszych... Tak Bóg chce, niechaj się stanie Jego przenajświętsza wola... (C. d. n.)

Przebudził się groźny Wezuwiusz.

Z cudownego Neapolu, o którym włoskie przysłowie powiada, że trzeba go zobaczyć, a potem umrzeć, nadeszły wieści, które zaniepokoiły świat cały. W piątek mianowicie zaczął w groźny sposób wybuchać Wezuwiusz, jedyny dzisiaj czynny wulkan w Europie.

Czynność Wezuwiusza wzmogła się jeszcze z nową gwałtownością w nocy z soboty na niedzielę. Słupy ognia, dobywające się z krateru, dosięgły 150 metrów wysokości. Wybuchom towarzyszył silny huk, który w miejscowościach leżących u stóp Wezuwiusza, spowodował wstrząśnienia. Strumienie lawy zniszczyły zupełnie miejscowości Boscotrecase, Porto Regave i kilka innych. Obserwatoryum na Wezuwiuszu zostało zupełnie zniszczone, taksamo jak kolej Cooko, prowadząca do szczytu wulkanu. Neapol przez cztery dni zasypywany był deszczem popiołu i ognia.

W niedzielę przybyła do Neapolu włoska para królewska i udała się do miejsc, najbardziej wybuchem zagrożonych, niosąc przerażonym mieszkańcom otuchę i pomoc.

Nadesłana nam z Neapolu fotografia przedstawia spływającą po stokach Wezuwiusza lawę, w chwili, gdy ta ognista masa zasypuje tor kolejowy, prowadzący do szczytu krateru.

Naczelnik policyi śledczej w Warszawie.

Dla zaspokojenia ciekawości Czytelników podajemy dziś podobiznę naczelnika warszawskiej policyi śledczej, Wiktora Grüna, którego nazwisko nabrało w ostatnich tygodniach takiego rozgłosu zarówno w polskiej prasie zakordonowej, jakoteż w pismach rosyjskich, a nawet niemieckich, francuskich i angielskich, na skutek czego władze naczelne w Petersburgu zajęły się sprawdzeniem sensacyjnych pogłosek o stosunkach w więzieniach warszawskich. Ministeryum spraw wewnętrznych urzędownie poleciło przedstawić sobie raport w tej mierze, a departament policyi w Petersburgu delegował do Warszawy dwie osoby zaufane dla dokonania śledztwa, o ile prawdziwe są odnoszące się do Grüna wieści o torturowaniu więźniów itp.

Warszawianin, syn znanego tu swego czasu lekarza, wcale nawet majętnego właściciela realności, poświęcił się z własnej ochoty i odczutego powołania służbie policyjnej, początkowo zwykłego agenta, później zaś, za oberpolicmajstra bar. Nolkena, urzędnika do specyalnych poruczeń, na którem to stanowisku zawiódł położone w nim zaufanie i to do tego stopnia, iż złożony z urzędu, poddany został pod sąd i wyrokiem jego uznany winnym, skazany został na rok więzienia.

Po odbyciu tej kary przywrócony ponownie do służby policyjnej, zdołał „poprawą, bezprzykładnem zaparciem się siebie i gorliwością“ odzyskać stracone dawniej zaufanie przełożonych, tak, że wreszcie nie wahano się poruczyć mu odpowiedzialnych obowiązków na stanowisku naczelnika warszawskiej policyi śledczej.

Sprawa, która go naraziła na oskarżenie i karę więzienia, była następująca:

Umarła jakaś tutejsza obywatelka zamożna, której mąż tuż po jej zgonie spostrzegł brak 30.000 rb. Ogłosił więc, iż ofiaruje 6000 rb. temu, który pieniądze odszuka. Podjął się tego Grün i w domu u nieboszczki znalazł tę sumę w jakiejś starej pończosze. Lecz mąż nie chciał mu dać 6000 znaleźnego, jako nie na skutek poza domowego poszukiwania, lecz ofiarował tylko kilkaset. Grün nie chciał się zgodzić, a kiedy nie ustawał nachodzić i trapić wdowca, tenże zaskarżył go o nadużycie władzy w charakterze urzędnika, jakim wtedy Grün był istotnie. Sąd uznał skargę za uzasadnioną i zasądził Grüna na dłuższe więzienie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13.

Logogryf.

Sandwic**h**, **T**eres**a**, **A**be**l**; **N**ure**k**, **I**gław**a**, **S**iemiedzk**i**. **Ł**-**s**, **A**ga**t**, **W**eima**r**, **M**uch**a**, **O**nyk**s**, **N**aruszewic**z**, **I**ndosta**n**, **U**niwersytet**y**, **S**a**d**, **Z**łotogłó**w**, **K**öresmez**ó**, **O**rde**r**.

Stanisław Moniuszko — Halka i Straszny dwór.

Kryptogryf.

Adam Mickiewicz, Pau Tadeusz.
Pan Tadeusz, Grażyna, Wallenrod.

Zagadka.

Prima aprilis.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: St. Kozłowski Lubaczów, J. Aleksandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, J. Sulkowski Kraków, I. Ciszyński Rzeszów, B. Ramułtowa Jeżów, H. Doening Schodnica, M. Niebieszczański Halicz, St. Mroczkowski Kowalowy, Z. Ciechanowska Stary Sambor, ks. C. Grzesiak Mogiła, J. Rodakowska Kulików, drowa M. Schmarowa Grzymałów, K. Jurkiewicz Tłumacz, ks. A. Majewicz Rzepiennik Strzyżowski, A. Miłkowski Bełz, ks. A. Sztyrak Złoczów, K. Fuchs Peczeniżyn, J. Robak Kraków, E. Bogdalska Koropuż, J. Bojuk Bełz, J. Świętnicki Borysław, Wł. Karatnicki Worochta, Czytelnia akad. Koła Tow. Szkoły ludowej Wybranówka, Helena Nitribittowa Krynica, ks. A. Murański Spytkowice, K. Ludwig Borysław, A. Listowska Płuchowczyk, J. Czechowicz Mikołajów, M. Radlmesserówna Swoszowice, Z. Żukowicz Sambor, K. Bobek Kraków. Z. Szymczakowska Kraków, J. Kulczyńska Kraków, M. Oberska Grzegórzki, J. Wodziczkówna Germakówka, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, Z. Kamyk Kraków, O. Piotrowska Kraków, N. Auerówna Podgórze, K. Jaroszek Kraków, J. Kolbusz Wadowice, St. Mika Nowy Sącz, A. Knapińska Kraków, H. Mokrzycka Turbia, Wł. Hałdziński Lichwin, A. Pukalski Andrychów, S. Miszke Kęty, M. Opolska Czarny Dunajec, Cellerinowie Busk, H. Zielińska Manajów, J. Sozański Rzeszów, J. Sadowska Rzeszów, A. St. Bassara Niwiska, L. Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, H. Karatnicka Nadwórna, E. Nowak Wysoczanka, W. Radwańska Lwów, J. Reczyński Radymno, E. Mrożeński Mosty wielkie, M. Szulcowa Kraków, L. Kuszpeciński Kraków, E. Byszewski Kraków, R. Orłowski Kraków, A. Mussil Lwów. C. Głębocki Kraków, M. Arbesbauer Lwów, Al. Bocsoń Bóbrka, St. Łaszkiewicz Dębica, Bl. Pieterkiewicz Czerniowce, Fr. Niepokój Krosno, T. Wasiewiczowa Baranów, St. Gajdeczka Sieniawa, A. Surowiecki Kraków, Tow. „Zgoda“ Krosno, A. Zimmer Mikulińce, M Cetera Dubiecko, W. Stanula Samocice, J. Dobrzańska Kołomyja, H. Leligdowicz Fraga, S. Suchomel Tatarów, T. Domain Sanok, St. Pileski Halicz St. Szwabowicz Żurawno, M. Bossowska Bistuszowa, L. Fortuna Kęty, W. Wąsikiewicz Wiśnicz, R. Bielewicz Dubiecko, M. Gałuszkiewicz Lwów, J. Haładej Górki, M. Zacharska Kraków, M. Gerstman Dobrostany, G. Fuchsbalg Lwów, St. Grodeccy Leżajsk, A. Batko Lwów, M. Jachimowicz Lwów, K. Kaczorowski Sanok, St. Dobrzyniecki Stanisławów, Fr. Milk Żyrardów, M. Pachucki Waksmund, J. Talaga Stale, W. Nowiccy Wiśnicz, Tow. Kasynowe Rozwadów, G. Agopsowicz Wołczkowce, K. Jasiński Sambor, St. Szpunda Skała, Urząd pocztowy Starzawa, F. Kulesza Kraków, B. Kausik Łódź, K. Jasinski Sambor, Wł. Halkiewicz Czerchowa, E. Jezierski Kraków, L. Ulrych Ulanów, J. W. Kaczarowski Bołochów, B. Warowitz Nowy Sącz, F. Misińska Podmojsce, St. Waśniewski Kosów, W. Źralski Podgórze, Kasyno Uhnów, H. Plechawska Stanisławów, ks. L. Czapieński Radłów, W. Wieroński Kraków, A. Waranka Kocmań, W. Czechowski Tarnów, ks. S. Suski Brzezie, Żerlak Trzebinia, Malicki Tarnoruda, H. Szczerbowa Majdan, H. Ulrych Malin, J. Bielawski Brzeżany, Fr. Kalita Gawłuszowice, K. Chodkiewicz Zbydniów, K. Morawska Dynów, K. Weinarówna Przemyśl, St. Palczewski Felsztyn, E. E. Korzelik Szczawnica, K. Radwański Nowy Sącz, Al. Czaprański Wojniłów, M. Zoellner Rozwadów, T. Tchórzewscy Lwów, A. Wiśniowski Sulimów, J. Wiśniowski Kraków, Janina Kłos Warszawa, Helena Kłos Warszawa, B. Meszyński Drohobycz, J Świerczewska Lwów, A. Rożański Gorlice, F. Jeleński Nowy Targ, J. Ramoszyńska Borysław, Hr. Skarbek Szkło, J. Badura Rożdzień, P. Smaga Śniatyn, Lila Harasimowicz Warszawa, Fr. Piotrowicz Ciężkowice, A. Bukalski Włocławek, gub. Warszawska.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **Piotr Smaga w Śniatynie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył Wiktor J. Ś.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko słynnego i popularnego przywódcy opozycyjnej koalicyi na Węgrzech.

O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
	O	X	O	
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
	O	X	O	
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
	O	X	O	
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
	O	X	O	
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O
O	O	X	O	O

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Inaczej łódź. 3. Dopływ Wisły, nad którym leży Przemyśl. 4. Imię żeńskie. 5. Pierwotny drewniany pług. 6. Rzeka w Egipcie. 7. Członek sejmu lub parlamentu. 8. Uprzywilejowany żołnierz rosyjski. 9. Zaimek wskazujący. 10. Odłam wynawców pewnej religii. 11. Miasto święte dla Mahometan. 12. Poeta polski. 13. Dygnitarz turecki. 14. Przetwór mleczny. 15. Inaczej zwaliska. 16. Instrument muzyczny. 17. Pasterz owiec w górach.

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Pierwsza druga — kobieta, zawsze ją znajdziecie
Przy dzieciach w bogatym świecie.
Trzecia — to tytuł, za granicą znany,
U nas rzadko spotykany.
A *czwarta* skromna litera,
Zaś *całość* — imię bohatera,
Przed którym świat drżał cały,
Gdy stał u szczytu chwały.

Logogryf.

Ułożyła Zetka.

Ze zgłosek: a, am, błok, bro, czyn, do, e, e, fraim, gor, i, ka, kli, kra, lal, lek, lo, ło, mu, na, nal. niec, non, o, o, o, ran, ri, rup, siń, ski, spe, sta, sy. to, ty, wa. za, za, ze, zya, zya ułożyć piętnaście wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitej powieściopisarki polskiej, a litery końcowe, również z góry na dół czytane, imię i nazwisko słynnej polskiej pieśniarki.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie żydowskie. 2. Znakomita powieść Prusa. 3. Bohater słynnego poematu rosyjskiego p. t. „Pieśń o pułku Igora“. 4. Nazwa flirtu wiejskiego. 5 Potrawa bogów. 6. Inaczej mała chmurka. 7. Bandyta włoski. 8. Imię męskie. 9. Język międzynarodowy. 10. Przetwór owocowy. 11. Miasteczko w zachodniej Galicyi. 12. Słynny poeta polski. 13. Miasto na Morawach. 14. Imię męskie zdrobniałe, często na wsi spotykane. 15. Imię żeńskie.

Kryptogryf.

Ułożył Wiktor J. Ś.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w kierunku pionowym. utworzyły imię i nazwisko młodego poety polskiego, a w kierunku poziomym tytuł pierwszego tomiku jego poezyi.

			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
		O	O	O	X	O	O	O		
X	X	X	X	X	X	X	X	X	X	X
		O	O	O	X	O	O	O		
			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
			O	O	X	O	O			
		O	O	O	X	O	O	O		

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa na Morzu Śródziemnem. 2. Wyrzuty na twarzy. 3. Inaczej jaskinia. 4. Materya czerwona, lub farba, którą zaczęli wyrabiać Fenicyanie. 5. Tytuł poezyi poety, o którym mowa. 6. Główne miasto, będące rezydencyą władcy lub jego zastępcy. 7. Rzeka, na którą leży Lyon. 8. Słynny dramaturg skandynawski. 9. Imię męskie, imię kilku cesarzy rzymskich. 10. Inaczej wrogi. 11. Imię żeńskie. 12. Polityk i mąż stanu w Anglii.

Arytmogryf.

Ułożył Z. E. Kraków.

								9								
							16	15	9							
						20	15	2	12	9						
					8	15	22	12	6	12	9					
				17	13	22	12	22	12	20	13	15				
			10	12	17	13	15	14	6	13	22	13	15			
		19	12	8	6	12	2	12	22	13	11	7	10	6		
	11	12	3	8	11	12	16	9	13	14	11	8	21	23	14	
9	15	2	12	22	14	12	9	18	12	9	15	2	15	5	11	14
	13	6	2	5	14	8	7	12	9	15	22	13	8	11	15	
		9	13	14	2	12	10	9	15	4	15	22	9	14		
			15	14	5	2	9	15	1	11	7	19	15			
				17	13	22	13	2	12	2	12	22				
					15	18	5	15	23	15	6					
						10	15	5	3	7						
							19	11	12							
								14								

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym czytane kierunku, utworzyły imię i nazwisko jednego z największych wodzów świata.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię męskie. 3 Zdemaskowany niedawno bohater rewolucyi w Petersburgu 4. Król żydowski. 5. Nauka języków starożytnych. 6. Dwa imiona żeńskie. 7. Określenie idei, wysuwającej się poza ramy narodowości, a obejmującej świat cały. 8. Nazwisko słynnego powieściopisarza rosyjskiego i filozofa niemieckiego. 9. ? 10. Określenie pewnego rodzaju artystów malarzy. 11. To, co się nie da zbadać. 12. Inaczej żegluga powietrzna. 13. Miasto założone przez Filipa Macedońskiego. 14. Imię męskie żydowskie. 15. Przyrząd do gry. 16. Zaimek. pytajny. 17. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **funt znakomitych karmelków** z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.